№ 24. Warszawa, dnia 10 (22) Marca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartal: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7½.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 23.)

— A no, jest... to co?

— No nic— wy bo ex-stryjaszku jesteście po troszę ciapu-grochem...

— E! e! porwał się Eligi—co to znowu!

— Siedź do końca i słuchaj.—Oceńcie wioskę, popłaćcie długi, dajcie mi resztę na rękę żywcem, i bywajcie zdrowi...

Eligi popatrzał na niego z podziwieniem.

— A tam ojciec asindzieja mieszkał i matka?

— Choćby i dziadek! co mi tam!—rzekł Zygmunt.... Kupcie sobie wioskę — i bywajcie zdrowi...

— A asindziéj co poczniesz?

— Ja? zaśmiał się ironicznie przewracając w łóżku Zygmuś— ja? Ja mam ex-kochany stryjaszku tysiące dróg przed sobą do wyboru... najprzód na cmentarz na Frydrychsztacie.... powtóre mogę wejść do baletu J. K. Mości, przetańcowałem przecię wioskę i żonę? hę?... potrzecie przyjmie mnie pruski król do wojska dla wzrostu... poczwarte, mogę lektyki nosić... i ubrać się kanarkowo co mi będzie do twarzy, popiąte...

— E! e! przerwał stryj Eligi—bo kpisz!

— Ale nie—wszystko to być może; zresztą co wam do tego, co zrobi z sobą Piętka... zabierzecie wioskę... jejmość się wyda za którego gacha... będzie żyła po katolicku, trzymając męża na łańcuszku... i dobrze!.. Stryj temi żarcikami czując się obrażony, powstał mnąc czapkę pod pachą.

— Więc po co żeś mnie asindziéj tu wezwał? zapytał.

— Abyście mnie wykupili a sobie wioskę wzięli. Sprzedajcie ją naostatek komu chcecie! Wszakci i jejmości posag się wam należy, dla tego samego musicie ją tradować — ja nie przeczę...

— Ja — dodał — jeśli mnie czarni nie wezmą z teog postrzału—kąt i robotę sobie znajdę... Bywaj zdrów ex-stryjaszku! To mówiąc odwrócił się na łóżku plecami do Eligiego, co stanowiło ostatnie niebardzo grzeczne pożegnanie... Eligi popopatrzał, plunął, ramionami ruszył i poszedł rzuciwszy drzwiami...

Już się na wschodki puścił, gdy Dziemba wybiegł za nim prosząc jeszcze do pana; stryj pomruczawszy wszedł..

Zygmunt leżał na łóżku jak wprzódy, głowę tylko odchylił na izbę.

— Mój ty ex-stryjaszku — odezwał się słodszym głosem—jak też mnie kochasz, bo nie wątpię że kochasz... przyszlćj mi Borodziczа, powiedz mu, że mi to winien. Na całym świecie gdy kto komu strzeli tak w piersi, musi mu potém przyjść winszować, że się wyskrobał.... Powiedzcie mu że go proszę!

Głową tylko kiwnął Eligi i poszedł tym razem nie zatrzymywany do Elżusi. — Niezupeł-



Konie Dworskie, Kopia z aquarelli Juliusza Kossaka. (108).

nie wiernie, opowiedział jéj jednak o co chodziło Zygmuntowi.

Spytała:—A cóż on z sobą myśli zrobić?

— Plótł mi baje—kto spamięta! odpowiedział Eligi,—chce pono tu służby wojskowéj, albo w Prussiech szukać. Plecie jak na mękach!..

Zamyśliła się Elżusia: — Poszléjcież mu Borodzicza, a powiedzcie, żeby potém przyszedł do mnie.

Tego dnia wszakże Borodzicza nie znaleziono, dopiero nazajutrz gdy do winiarni przyszedł, powiedział mu stryj czego od niego żądano i że potém prosi go Elżusia do siebie. Uszczęśliwiony Gracyan wyrwał się zaraz pod Trębacza, aby co rychléj zobaczyć swoją królowę.

Zygmusia znalazł w koszuli, wybladłego, schudzonego nad miską strawy brzydkiéj (gęstwiny mięsa wieprzowego z włoszczyzną), klapiącego łyżką po jadle, którego w gębę wziąć nie mógł. Dziemba też z nim z jednéj misy jadł... nieprzebierając bardzo. Lepszego nie było za co kupić; szczęściem że i to na kredyt dać chciano.

Gdy Borodzicz wszedł, Piętka nie wstając podał mu rękę—uściskali się w milczeniu,

— Patrz Gracku mój—rzekł—jakie te bestye Niemcy rzeczy dają ludziom jeść, pod pretekstem że na kredyt lepszych nie mogą. U mnie wieprze wymyślniejszą strawą z osypką karmiono! Ani przełknąć! A no—co robić! nastał post po zapustach...

Odwrócił się ku niemu.

— Nielitościwieś mnie prześwidrował tą kulą, mówił daléj—jeszczę ją czuję jak przezemnie leciała... Zawsze to jednak była przyjacielska ręka—życia mi odrobina została... Wiesz—Gracku? ja może chyba Kapucynem zostanę. Goły jestem, nikt mnie już nie chce... Broda wyrośnie, pacierzy się nauczę... a u Kapucynów choć przynajmniéj stokfisz i piwo dobre... jak ci się zdaje?

— Mnie? mnie? odparł powoli cedząc słowa Borodzicz—mnie się zdaje żebyś, najprzód poczekał aż wyzdrowiejesz zupełnie, to ci inna fantazya powróci. Do Kapucynów zawsze czas, a nawet na starość broda ci lepiéj rosnąć będzie.

— Ha! no, poczekam! Ale żart na stronę—odezwał się Zygmuś obracając ku niemu. Przed wami sekretu ja nie mam, choć wy dalipan moją żonę daleko lepiéj kochacie niż mnie—cóż robić? ja wam też przyjacielem byłem i jestem.

Podali sobie ręce.

— Czego chcesz odemnie? zapytał Borodzicz.

— Prosiłem Eligiego, ale to safandula—odezwa się Zygmuś — rozpłacze się, rozmaże, pomodli i stchórzy, a nie nie zrobi. Mam długi, mam dużo długów. Jejmość zemną żyć nie chce, posag jéj potrzeba oddać. Tu mnie za gardło cisną ci Niemcy, trzeba się uwolnić, zatém wioska sprzedana być musi. Niech ją kupuje kto chce... Okónie czy inna jaka ryba, to mi wszystko jedno... a wolałbym, żeby Okónie, bo ja ich trochę jadłem... niech oni mnie też trochę zjedzą. Ot co, sprzedajcie mi wioskę, a przyszléjcie pieniędzy, jeśli Boga kochacie! Ja tu z głodu zdechnę...

— Ale ty też! ofuknął Borodzicz sięgając pod pas i dobywając worka.—Maszci ot masz... z głodu nie umrzesz.

Zygmuntowi łzy stanęły w oczach.

— Bóg ci zapłać—a masz ty sam o czém do domu wrócić?

— Mam, mam, zawołał Borodzicz — oddaj psom tę wieprzowinę z mydłem, a każ sobie coś ludzkiego przynieść, zaraz ci szpary odejdą! Hej Dziemba!

— A ! stój, wara!—krzyknął Zygmunt—jakby Niemcy zwąchali, że mam grosz, toby mi go wycisnęli zaraz i zostałbym znowu na téj wieprzowinie z mydłem; pójdę ja jeść gdzieindziéj, póki pieniądze nie nadpłyną, żebym długi pospłacał. Ale na miłość bożą—Borodzicz, wioskę sprzedać! sprzedać! sprzedać! Jejmość zemną żyć nie chce, jabym też sam gdzieśmy z nią razem żyli, niepotrafił. Nie chcę! pójdę w świat! kat bierz wioskę...

Gadając tak chodził w koszuli po izbie. Patrząc nań, co się z tego ślicznego człowieka zrobiło, jak tylko na kościach skóra wisiała—Borodzicz mało nie płakał.

— Zygmuś kochany! bądź lepszéj myśli, nie desperuj A! no, ciebie nie moja kula i nie ta nędzna sprawa do tego przywiodła, tylko desperacya. Nie godzi się, póki człek żyw, tracić nadziei.

— Jakiéj nadziei?—rozśmiał się Zygmunt... wolałbym dziś sztukę mięsa przerastałą niż nadzieję—Co ty mi tam pleciesz!

Spuściwszy głowę Borodzicz słuchał smutny...

— Otoż tak—dodał Zygmunt: — wioskę mi sprzedajcie; powiem, żeście mi byli przyjacielem. Ja wam wierzę jak bratu... dam wam plenipotencyę jaką chcecie do sprzedaży, przed saskim harcapem... czy peruką... Co osądzicie, że warta, niech da kto chce... Długi popłacę... i...

Zamyślił się ponuro stanąwszy pośrodku izby.

— To tam reszta się potém obmyśli—dodał Z łaski waszéj będę miał co jeść póki mi nie przyszlecie pieniędzy... długi popłacę — powtórzył.

— Ileż tam tych długów? spytał Borodzicz.

— Ba! żebym to ja wiedział—rzekł Zygmuś—większa ich część po pijanemu się robiła, a zapisywać wydatki czy rachunki! od tego mnie pan Bóg strzegł. Tego nigdy w życiu we zwyczaju nie miałem—to niemiecka inwencya!

— Przecież — *praeter propter*? powtórzył Borodzicz...

— *Praeter propter* tyle że... Słuchaj Dziemba? jakeś ty tu przybył, czy były długi?

— Zdaje się, że nie, boć były pieniądze—odezwał się Dziemba z kąta —

— Ale ba! pieniądze pożyczone!! a od tego czasu jak przybyłeś, co przyrosło? ty nie liczyłeś?...

Julek ramionami ruszył:— Nie liczyłem, zastałem tu pod Trębaczem, że konie żłoby gryzły, a chłopak płakał głodny... a potém... Byłyć pieniądze u pana, i dopożyczały się, a mnie co do pańskich wydatków?...

— Któż tu teraz odgadnie co ja mam długów? rzekł Zygmuś. Jeden tylko sposób: gdy pieniądze przyjdą, każę przy bębnie ogłosić, kto ma kwitek niech się stawi...

— Ty bo wszystko w żarty obracasz... począł Borodzicz — a tu seryo trzeba pogadać... Moglibyśmy może długi popłacić, jabym waści wziął z sobą, i tam w miejscu sambyś się rozporządził jak chcesz...

— Do domu ja nie pojadę—noga moja tam nie postanie—zawołał Zygmunt.—Głupstwem to nazwiéj—nie mogę patrzeć na to miejsce—nie miałbym siły... przenocować pod tym dachem... niemógłbym, bobym zdechł—nie! nie... Jedź ty i rób co żyw chcesz...

Przechadzając się ciągle, i pokaszlując, i spluwając czasem na podłogę... na któréj Borodzicz z przestrachem krew zobaczył—Piętka podszedł do kąta gdzie stał Dziemba, pocałował go w czoło, wziął za ucho, i otworzywszy drzwi wyrzucił za próg. Wrócił potém do Borodzicza...

— Ej! słuchaj, Gracku... jeszcze mi zrób łaskę jedną a największą... wszystko ci daruję!.. Mam kamień na piersi, zrzuć go z piersi mojéj!

Pocałował go w policzki z obu stron.

— Gracku... będzies[illegible]jcem i dobrodziejem...

— No cóż? no, mów a mówże! zerwał się Borodzicz.

— Wstyd a spowiadać się muszę... (uderzył się w piersi): E! tyś człek poczciwy zapłaczesz a nie przekliniesz... Byłem podły uciekając z domu, słuchaj dobrze—leciałem jak pijany z passyi za tą czarownicą francuzką, która mi się dziś wydaje obrzydłą. Co ty chcesz! Dali mi napoju jakiegoś... zwaryowałem. Dość żem brał dla niéj com mógł, pieniądze... klejnoty... Słyszysz... ukradłem u żony w tym przystępie fikcyi stary łańcuch z granatów. Cena może niewielka... ale pamiątka droga!... Popełniłem czyn, którym się brzydzę... Dałem go téj dyablicy... mnie go trzeba wykupić za co bądź! Każę go okadzić, omyć poświęcić... a trzeba go żonie oddać.

— A jakże go dostać? jak? łamiąc dłonie wykrzyknął Borodzicz. — Jam prosty człek, ja tego nie potrafię... ja do téj kobiety przystępu nie znajdę, i boję się, i brzydzę... *(d. c. n.)*

WCZASY WARSZAWSKIE.

VI. UTOPIE.

(*Dokończenie. Ob. Nr. 23*).

Na pytanie, jakie jest źródło i znaczenie utopij, takby można odpowiedzieć: Wszelki pomysł ludzkiéj głowy z dwóch składa się części: samego umysłu i otaczających stosunków. Jakoż z doświadczenia wiadomo, że umysły ludzkie są rozmaite co do stopnia ukształcenia, rozległości i głębokości wiedzy, siły rozumowania, poczucia sprawiedliwości i t. d. Gdy zatém podobny umysł, który nazwijmy wyższym nad swój wiek, znajdzie się śród otoczenia wielce niższego od siebie, uderzony niesprawiedliwością, przesądami, głupotą współczesnych sobie ludzi, szuka pociechy w fantazyjnych obrazach i w kształcie powieści, kreśli ideały, wzory tego co być według niego powinno, i pisze satyrę w najniewinniejszéj formie bajki czyli romansu. I tak też w istocie bywało przy kreśleniu tych wymarzonych ideałów szczęścia .Zdarzało się wprawdzie, że nie koniecznie wyższe nad współczesnych umysły brały się do pisania utopij i o tyle pomysły ich były mniéj praktyczne; zawsze jednak istniejące stosunki służyły im za podnietę do ucieczki w kraj złudzeń.

Nie sięgając starożytności t. j. Platona, przyjrzyjmy się utopii Morusa. Zaleca on np. równość obywateli w swojém państwie, zmusza wszystkich do pracy, głosi wolność wyznania religijnego, natrąca o wzorowém duchowieństwie, dotyka charakteru królów i ich ministrów. Przypomniawszy sobie stan Anglii i Europy na początku XVI wieku, gdy Utopia wyszła na jaw, zrozumiemy dla czego była możebną i dla czego taki zapał w oświeconéj i uczonéj publiczności znalazła.

W kraju tak arystokratycznym jak Anglia proponować równość, swobodę wyznań, pracę dla wszystkich i t. d., nie było to powszednią śmiałością. Dzisiaj te wyobrażenia chociaż nie ze wszystkiém i nie wszędzie wprowadzone, nie budzą jednak żadnych podejrzeń, a przynajmniéj uważają się za konieczne w stanie postępowym społeczeństwa. Była to więc ze strony Morusa śmiałość niezwykła na owe czasy, zwłaszcza gdy sobie przypomnimy wysokie jego stanowisko urzędowe. Darowano mu nawet ujemne pomysły Utopii jak utrzymanie wspólności dóbr i niewolnictwa, a unoszono się nad świeżością i głębokością dodatnich.

Jeżelibyśmy chcieli każdą z utopij wyprowadzić częścią z umysłu piszącego a częścią ze stosunków, pośród jakich się znajdował, zawsze ten sam osiągniemy wypadek, t. j. że powstały one z niezgodności między duchowym stanem autora a istniejącemi urządzeniami społecznemi lub politycznemi. Tak Harrington do żywego tknięty był domową wojną za Stuartów i samowolą protektora Kromwella, zatém radzi demokratyczne urządzenia. Tak nowsi kommuniści i socyaliści jak St. Simon, Fourrier, Cabet, Comte, widzieli źródło złego w stosunkach ekonomicznych i moralnych, więc proponowali odmienne wyobrażenia o pracy, małżeństwie, religii i t. p.

Lecz i pomiędzy utopistami było wiele różnic. Jedni bowiem nie zaczepiali stosunków społecznych, lecz urządzenia polityczne, jak np. Harrington; inni do dna przewracali jedne i drugie, jak Campanella lub nowsi francuzcy.

Zestawiając z sobą rozmaite utopie, widzimy w nich pewne punkta tożsame lub bardzo podobne, jak np. wielożeństwo i wielomęztwo, wspólna własność i wspólne dobra, stawianie na czele rządu uczonych lub bankierów, despotyzm najwyższy, bo ograniczający człowieka we wszystkich kierunkach, i to wszystko dla jego uszczęśliwienia. Dla tego też utopie nie miały nigdy powodzenia gdy je chciano stosować w życiu. Przykłady Hernhutów i Mormonów niewiele znaczą, gdyż to społeczeństwo zbyt drobne, a powodzenie kupione tém od czego się wzdryga myśl oświeconego człowieka, t. j. niewolą i wspólnością żon i majątku. Jakiekolwiek mogły z indywidualnéj własności wyniknąć cierpienia dla innych, jakiekolwiek dolegliwości pociąga za sobą jednożeństwo; dzisiaj po rozmaitych próbach już tylko narwane głowy lub niestateczne żony mogą w romansach i powieściach powstawać na własność i małżeństwo monogamiczne.

Jakie znów może być znaczenie utopij dla rozwinięcia umysłu ludzkiego lub postępu urządzeń społecznych i politycznych?

Mając na uwadzę umysł pojedynczy, t. j. twórcę jakiejś utopii, zyskuje on tyle co każdy twórca powieści, t. j. wyrabia w sobie zdolność do pisania nowych powieści. Ściśle mówiąc tworzenie powieści takich lub innych nic nie przynosi dla umysłu piszącego czyli autora. Stopień jego doświadczenia i zapasu wiedzy przelewa się w fantastyczne utwory; a im zapas był mniejszy a gromadzenie nowego ustało, z konieczności dalsze utwory będą coraz słabsze i bezbarwniejsze. Przykłady tego mamy na naszych współczesnych powieściopisarzach płci obojga.

Lecz nie można utrzymywać, że utopie lub zwyczajne powieści nic nie pozostawiają po sobie w umysłach czytelników; przeciwnie mogą one pozostawiać bardzo zbawienne lub bardzo szkodliwe skutki. I na to nie brak przykładu choćby tylko z naszego wieku.

Powieści polityczne wymagają większego przygotowania naukowego ze strony autora, gdy tymczasem zwyczajne czyli obyczajowe pisują i studenci i kobiety. Doniosłość też pierwszych jest większa, albowiem dotykają często bardzo ważnych pytań, chociaż je niepraktycznie rozwiązują. Nareszcie, gdy jak powiedziano, utopie są wynikiem niezgodności duchowéj autora ze stosunkami w jakich żyje; im więc to przeciwieństwo jest zasadniejsze, im opozycyonista w jaskrawsze uderza nadużycia, tém skutek jego opozycyi prędzéj lub późniéj może być skuteczniejszy.

Innemi słowy: walka utopistów wymierzona przeciw pewnym wyobrażeniom, urządzeniom, które dolegają społeczeństwu nie jest stracona. Wykazując przez kontrast szczęście zmyślonego społeczeństwa z cierpieniami rzeczywistego społeczeństwa opartego na pewnych, uświęconych podstawach, powoli przyczyniają się do upadku tych podstaw i pośrednio oddają usługę, burząc to co się przeżyło.

Trzeba jednak wyznać, że niewiele nowych myśli znalazło wstęp do umysłów za pomocą utopij, gdyż są one o tyle coś warte, o ile krytykują istniejący porządek; gdy budują nowy, są bardzo niedorzeczne, i tém się naprzód skazują na potępienie każdego rozsądnego człowieka. Co większa, utopie projektują od czasów Platona dwa urządzenia, na które nigdy ród ludzki nie przystanie, t. j. wspólność żon i majątku; nawet idealny Platon późniéj się zreflektował, i tylko dla bogów zostawił te ideały do urzeczywistnienia. Gdyby wszyscy utopiści tak samo postępowali, okazaliby, że znają niećo naturę ludzką. Ale rzetelni utopiści wnet przystępują do czynu; tymczasem z ludźmi inna sprawa niż z bogami.

Takie zdaje mi się być źródło i takie znaczenie utopij dla postępu.

Teraz zaś chcę powyższe uwagi zastosować do jednéj ze współczesnych utopij, która gdy i u nas ma zwolenników, może więcéj obchodzić czytelnika niż starożytne.

Oto niedawnemi czasy w Ameryce północnéj, w Anglii, a następnie i w innych krajach literaci podnieśli myśl o równouprawnieniu kobiety z mężczyzną. Myśl tę nazywam utopią, albowiem nosi wszystkie cechy utopii. Zrodziła ją fantazya rozromansowanych Donkiszotów, którzy widząc złe niezaprzeczone w społeczeństwie, podają przeciw niemu środek zupełnie lub prawie zupełnie bezskuteczny. Że stan niewiast wszędzie nie jest do pozazdroszczenia, że trudno dla nich o uczciwą pracę, że zatém brak pracy i uzdolnienia do niéj pociąga za sobą moralny upadek, temu przeczyć nie można. I gdyby protektorowie sprawy babskiéj chcieli obmyślić środki na to, jakimby sposobem tak zmienić stosunki ludzkie, ażeby wszystkim nie brakło chleba, byliby godni pomników i o emancypacyi niewiast niktby na seryo nie myślał. Ale im chodzi o co innego: o równouprawnienie na polu umysłowém, prawodawstwa cywilnego i politycznego.

Otóż to równouprawnienie jest niemożebne już dla tego, że fizyczna mężczyzny i kobiety natura nie jest jednakowa. Wprawdzie nie dowiedziono, żeby mózg kobiety stanowczo był mniejszy od męzkiego, bo porównywań mało robiono, by taki wniosek o niższości jéj usprawiedliwić à priori; lecz jest on usprawiedliwiony z faktów, czynów, dzieł sztuki i nauki à posteriori. Zresztą może być mózg kobiety równy gęsiemu, a jednak prześciga ona czasem męzkiego towarzysza w zaradności i sprycie; takie wyjątki się zdarzają i dowodzą, że wyższość umysłowa mężczyzny nie musi zależeć od saméj wielkości mózgu.

Możnaby się więc zgodzić na próbę co do zdolności umysłowych płci obojga, poczynając od szkoły elementarnéj, a kończąc na studyach najwyższych. Próby te już gdzie niegdzie wykonano, uczą się kobiety filologii grecko-rzymskiéj, prawa i medycyny; już nawet w Ameryce praktykują prawo i medycynę. Czyliż to dowodzi równości umysłowéj dla tego, że z mężczyznami uczyły się tych samych nauk? Przecież i dawniéj nie brakło pojedynczych ukształconych na równi z mężczyznami kobiet, a gdzie choć jedna genialna myśl po kobiecie pozostała? Nadto opisy donoszące o równym postępie i równych egzaminach kobiet i mężczyzn są niezawodnie przesadzone, gdyż pochodzą od interesowanych. W roku przeszłym syndykat uniwersytetu w Cambridge egzaminował 109 pań (ladies), chcących jak się zdaje otrzymać stopnie naukowe czy też wstąpić do uniwersytetu. Rezultat był taki: że paniom tym brak w każdéj nauce porządnego i metodycznego ukształcenia. W arytmetyce, języku angielskim, literaturze, francuzkim i niemieckim językach, w matematyce, logice, geografii fizycznéj, historyi sztuki, werdykt egzaminatorów ten sam. Jedynie z języka łacińskiego kilka z nich dobrze odpowiadało; jeszcze mniéj z pytań ekonomii politycznéj. Sprawozdawca robi uwagę, że niemałą przeszkodą do wyższego naukowego postępu dla kobiet jest to, iż nikt ich naukowych usług nie pożąda. W niższéj edukacyi mogą wybornie służyć; gdy chodzi o wyższą, każdy woli polegać na mężczyźnie. Słowem nie bacząc na równość lub nierówność mózgu, rezultat nauki nie jest w obu płciach jednakowy. Temu nie można przeczyć, że gruntowniejsze ukształcenie kobiet mogłoby je uczynić mniéj lekkomyślnemi, co również i do mężczyzn się stosuje.

Gdy zaś owoc nauki nie taki sam przy tych samych warunkach, więc tych samych praw naukowych żądać nie można.

Równouprawnienia na polu umysłowém nikt nie jest w możności przeprowadzić. Każdy swoje prawo do umysłowéj wyższości sam w sobie musi nosić. Mogą być równe, jednakowe szkoły dla płci obojga, ale rezultaty nigdy równe nie będą. To co nazywamy powierzchownością, lekkością, chaotycznością, zawsze będzie przyczepione do kobiecych wiadomości. Tam fantazya już z natury zabija rozsądek. Szkoła może coś poprawić, ale przerobić zupełnie téj natury nie zdoła.

Najwięcéj słuszności mają ci, co się domagają równouprawnienia kobiety z mężczyzną na polu prawodawstwa cywilnego. Gdzie prawo mówi, że kobiety i małoletnie nie mogą być opiekunami, że mąż zarządza całym majątkiem żony, że żona bez zezwolenia męża nie może przyjąć darowizny (prawnéj), tam rzeczywiście krzywdzi niewiastę bo ją uważa za wiecznie małoletnie dziecko. Jeżeli więc co, to ten punkt w utopii, równouprawnienia godzien uznania.

Na nieszczęście jednak kobiety zwykle nie wiedzą o tém ograniczeniu swoich praw cywilnych, jakie prawodawca do nich zastosował, i tego równouprawnienia się nie dopominają. Tymczasem są to rzeczywiste nie urojone prawa. Obrońcy wymarzonych pretensyj niewieścich także zupełnie co innego mają na myśli, gdy mówią o równouprawnieniu. Chcą równouprawnienia do pracy; tymczasem i siły fizyczne, i umysłowe kobiety nie do wszystkich prac wystarczają. Przeznaczenie obojga płci zupełnie inne. Doświadczenie przeszłych wieków pod tym względem także ma swoje znaczenie. Chcą równouprawnienia do nauki wyższéj—bo niższą miały—i to już gdzieniegdzie zyskały.

Równouprawnienia umysłowego nie da im żaden dyplom; a doświadczenie ciągle okazuje, iż nawet równouprawnienie szkolne nie wywiera na umysłach kobiecych tego samego skutku co na męzkich. Wprawdzie nie mają one u nas wstępu do uniwersytetu; ale mają gimnazya. Proszę zapytać nauczycieli wykładających jakiś przedmiot w obu zakładach, co powiedzą o rezultatach nauczania chłopców i dziewcząt. Egzamina także dają głos za chłopcami.

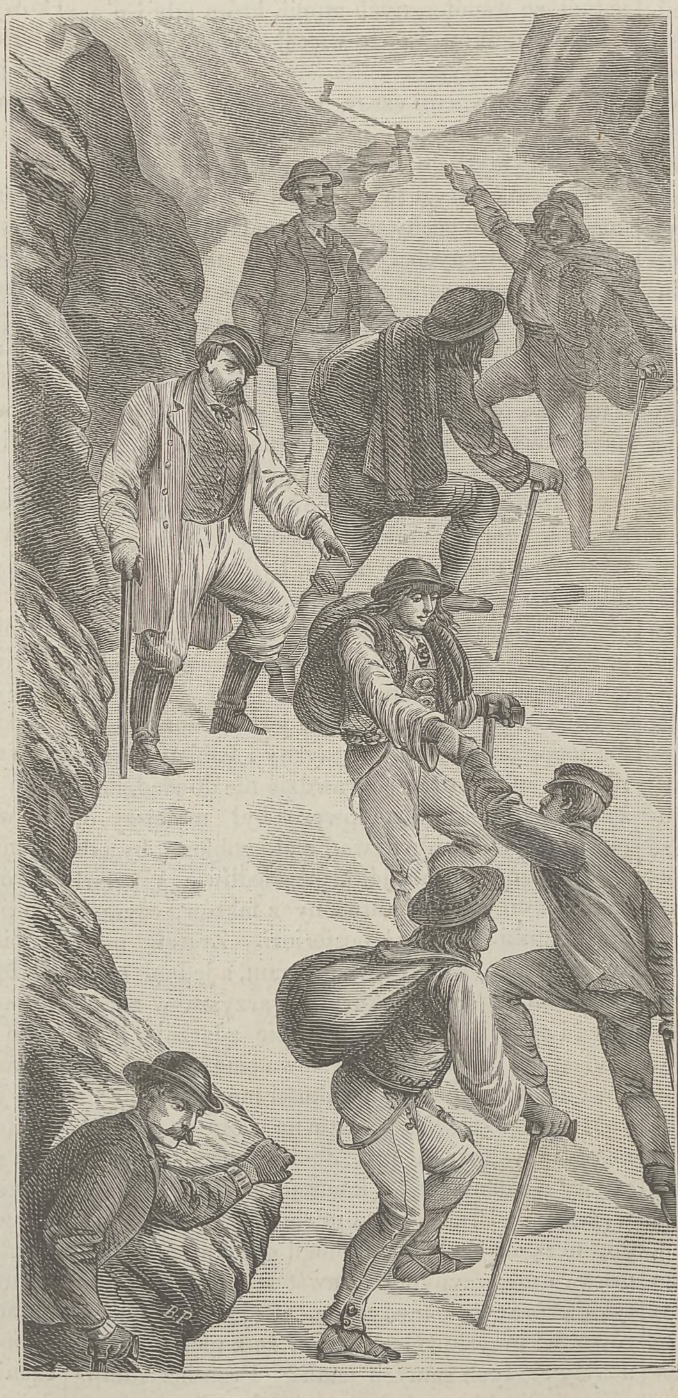
Nareszcie konkurenci i amfitryony twierdzą, że równouprawnienie polityczne podniesie skalę umysłowego rozwinięcia kobiety. Ciekawa rzecz jakim sposobem głosując raz na 2, 3 lub 5 lat, można nabrać umysłowéj wyższości? zechcež się ona uczyć dla tego matematyki, nauk przyrodzonych, ekonomii politycznéj? Rzecz wątpliwa.

Ale utopia zwana równouprawnieniem niewiast ma coś za sobą, nie jest ona całkiem bez prawa do głosu. Tylko trzeba jéj dać inny obrót, przenieść na pole ekonomiczne, i zadać sobie pytanie: zkąd taka trudność w dostarczeniu kobiecie uczciwéj i dla niéj odpowiedniéj pracy, a tém samém bytu niezależnego? Głębszy rzut oka w te strony pokazałby deklamatorom, że mnóztwo sił ludzkich straconych t. j. nieprodukcyjnie marnowanych, że ograniczenia prawne ciążące na rozmaitych rodzajach pracy wysuszają źródło zarobku, i nietylko dla kobiety, ale i dla mężczyzny coraz trudniejszém dostanie jéj czynią. Tymczasem deklamatorowie nasi zasłaniają się teraz J. Millem. Powaga to naukowa znakomita, ale przecięż i poczciwy Homer czasami zasypiał. Takie powoływanie się na powagę zowie się sofizmatem leniwym: on rzekł, więc prawda.

Krupiński.



Kozica. (109).



Pięcie się na Zawrót. (110).

KORESPONDENCYA.

Z Kareczyniec w gubernii Podolskiéj, pierwsza połowa Lutego 1872 r.

Przysłowie, ta mądrość narodów opiewa: „Jeszcze się ten nie urodził któryby wszystkim dogodził". Temi słowy powinien by rok każdy odpowiadać nietylko ogółowi, ale w szczególności gospodarzom rolnym. Czy słyszy kto kiedy wygłoszone zdanie: „Ten rok bardzo jest pomyślny?" Ja przynajmniéj i z was zapewne wielu jeśli nie wszyscy mili czytelnicy słyszeliście bez wątpienia tylko takie narzekania, wzdychania: „Oto rok okropny! No, takiego ciężkiego roku nie pamiętamy jeszcze!" albo: „Ach gdyby się już skończył ten rok nieznośny—może doczekamy się jeszcze lepszego!" — Tymczasem rok za rokiem też same słyszy zarzuty. Zkąd to pochodzi? Czemu ludzie pochopni do przyznawania samym sobie różnych zalet i wyjątkowych doskonałości zaczynających się od słów „Już to mogę sobie przyznać i t. p. nic przyznać" nie chcą na awantaż czasowi, czy to w nowéj czy staréj postaci im się przedstawia? Wszak i jemu prerogatyw nie brak: najprzód dawność urodzenia, któréj nic nie wyrówna, a przytém najszanowniejszy z darów—odradzanie się coroczne! czy nie przez zazdrość to ludzie go omawiają? Gdyby i nam odradzać, odmładzać się można z wiosną tak ciałem, jak i duchem; możebyśmy łatwiéj się wszystkiém zadawalali.... Ale wracając do tego co nas boli, a mianowicie do — roli — pp. gospodarze nasi i zmianom atmosferycznym pokoju nie dają—wszystko im nie w porę. Ziemia, ta matka stara, albo im nadto wcześnie zamarza, lub nie zamarzła dość wcześnie przed śniegiem—„Oziminy więc nie będzie!!!

Wszelako gdyby każdy z najzapobiegliwszych gospodarzy choć trochę przywiązywał wiary do światowych wróżb tyczących się zbiorów tegorocznych, niezawodnie kłaśćby się mógł najspokojniéj do snu, nie myśląc o jutrze, a co najmniéj o tém co wiosna pokaże z pod śniegu. Z każdéj bo u nas najmniéj znaczącéj rzeczy, wypadku, staruszkowie na karb swéj nieomylności nabytéj długiém doświadczeniem, a popieranéj wiarą młodego pokolenia, gotowi jakiś wniosek, przepowiednię wyprowadzać. I tak np. w tym roku: długie leżenie śniegu ma zapowiadać wielki urodzaj zboża, szron niepraktykowanie obfity na drzewach—ogromny zbiór owoców... Zjawienie się niespodziane zorzy północnéj w lutym obaliło wszystkie te tak wiele obiecujące dowodzenia; bo naturalnie, jak zwykle bywa w podobnych razach, zaczęto rzadkiemu zjawisku, osobliwie lud prosty, przypisywać najzgubniejsze następstwa, i „choć kometa była bez ogona," ale najniezawodniéj, powiadają, pociągnie za sobą najokropniejsze klęski, jak: pomorek na bydło, posucha, głód, chłód i t. p. Z tyla złego to ostatnie już dziś daje się nam we znaki—mrozów tak silnych i długich od dawna na Podolu nie pamiętają.

Złe czy dobre spotkać nas mają w tym roku urodzaje, zawsze smutno pomyśleć, iż żaden z naszych właścicieli ziemskich nie zdoła pochwalić się, iż pewien jest zebrać to, co mu się w polu urodzi. Opowiadanie w „Kłosach" p. Tatarkiewicza z wycieczki jego na wieś, w którém tak dosadnie odmalowuje dzisiejszy, nie do zazdrości, stan obywatela w Lubelskiém, nie jest przesadą bynajmniéj. U nas dzieje się toż samo. A skutkiem tego tak jak i tam—brak robotnika. Chłopek nasz leniwy z natury, a zadawalający się małém, byleby zapewnił sobie jakie takie utrzymanie z rodziną na zimę, o nic się więcéj nie troszczy. Rzadki bywa przykład, chyba przy najlichszym urodzaju zboża, kiedy już zwątpi czy przekarmi do przednówka swym chlebem siebie i rodzinę, idzie nasz włościanin do dworu po zarobek, i to kładzie sobie za warunek, by mu płacono za robociznę nie groszem, lecz zbożem. Cóż więc dziwnego, iż przy utrudnioném prowadzeniu gospodarki, najżarliwsi hreczkosieje poopuszczali ręce, przekonawszy się, że już wbrew zwyczajowi ogólnemu za „miły grosz" nie dostaje się wszystkiego. Możniejszym jeszcze idzie jako tako, bo jakkolwiekbądź, mając kapitał obrotowy w ręku, można jeszcze sobie jakoś radzić: można ręce ludzkie zastąpić machiną, można z oddalonych gubernij, gdzie lud pracowitszy, sprowadzać najemników, można wreszcie dawać potrzebującym pieniądze naprzód na odrobek we żniwa (choć i tu bywały przykłady nie rzadkie, że wolano oddać dworowi pieniądze z procentem, niż zdjąć umówionych kilka kop zboża). Uboższa zaś połowa właścicieli roli także radzi sobie jak może: sieje na współ z włościanami, przepłaca robotnika, zachęcając go różnemi sposobami do pilności, traktamentami, podarkami i t. d. przyprowadzeni do ostateczności, ratują się wypuszczeniem majątku w posessye, które, rzecz dziwna, dobrze się płacą i coraz więcéj idą w górę. Od Nowego Roku jeszcze się więcéj uszczupliła liczba niewielka chętnych do pracy, bo jednych robotników, jakich można jeszcze było u nas dostać, a składających się z ludzi prawdziwie ubogich, z młodych chłopców nie mających co w domu robić, z sierot i przybłędów, zabierać nam zaczęli do Bessarabii koleją żelazną jacyś entreprenerowie, obiecując im złote góry.

A właśnie teraz bardziéj niż kiedy zdałoby się nam jak najwięcéj rąk do pracy. Pierwszy to rok i raz myślimy spróbować dostawiania pszenicy do Odessy, korzystając z otwartéj kolei. Byłoby to naturalnie korzystniejsze niż wdawanie się dotychczasowe z pośrednikami. Nim to jednak nastąpi, każdy zadaje sobie pytanie: czy będzie urodzaj? a potém czy będzie kim zebrać, omłócić? To ostatnie wątpliwsze niż pierwsze, bo wiadomo, iż chcąc zboże ekspedyować koleją, trzeba w prędkim czasie co najwięcéj ziarna

wygotować— A tu nie ma kim!... Życzyćby należało, by pp. możniejsi stanęli tu w pomoc współobywatelom uboższym. Ktoś dawał się nie dawno słyszeć z zacnym zamiarem, iż myśli z nadejściem właściwéj pory sprowadzić dla siebie lokomobilę do młócby zboża, którą za pomierną opłatą pożyczać będzie sąsiadom. Radzibyśmy, by pomysł ten nie skończył się na projekcie, odwlekaniu „do lepszych czasów”, ale mógł się co najrychléj urzeczywistnić. A zdaje się, że chodzi tu tylko o silną wolę, bo przy dzisiejszéj ułatwionéj kommunikacyi sprowadzenie młocarni parowéj może się dokonać i prędko i tanim kosztem.

Nowo otwarta kolej i dziś nam oddaje nie małe usługi. Kontrakta w Kijowie z powodu łatwego dostania się, liczniejsze były w tym roku niż kiedy. Niejeden choćby z najmniejszym interesem, a wielu i bez interesu, zachęceni wygodną podróżą, podążali do Kijowa chociażby dla



JULIA W CELI OJCA LORENZA. Scena z dramatu Szekspira, Romeo i Julia. (111).

niewinnego pogawronienia. Przyznać jednak należy, iż nowy zarząd kolei żel. Odesko-Wołoczyskiéj przykłada wszelkich starań we wprowadzenia wzorowego porządku. Ciągle czynią się

jakoweś ulepszenia: wagony dawniéj nieopalane, z dniem przejścia w posiadanie nowego administratora dostały piece, i dziś nietylko passażerowie klassy I-széj i II-éj, lecz nawet i trzeciéj nie są zmuszeni chuchać w ręce. Liczbę wagonów towarowych znacznie powiększono, a passażerskich dilkanaście zupełnie nowych urządzonych z wielkim komfortem sprowadzono z zagranicy. Prócz tego od 1-go Lutego b. r. urządzono na każdéj stacyi telegraf dla ekspedyowania depesz prywatnych; innowacya ta więc stawia w możności miejscowych mieszkańców posyłania pięknych komplimentów choćby do antypodów. Wypadki grzęźnięcia w śniegu pociągów rzadziéj się u nas przytrafiają niż gdzieindziéj a to z powodu, iż wcześnie pomyślano o zapobieżeniu temu postawieniem po obu stronach przekopów kolejowych wysokich płotów, które tamują zbyteczny pęd śniegu w razie zawiei.

Już to ochronienie pociągów od śniegowych zamieci, podróżujący zawdzięczać winni po części poblizkim kolei mieszkańcom. Ci bowiem, widząc z jaką niedbałością i małą znajomością rzeczy pp. entreprenerowie (żydzi) zabierają się do roboty, ponabywali od nich kontrakta, i mając stosowny materyał pod ręką, bo kolej żelazna po większéj części przytyka u nas do lasów, wzięli na siebie sporządzenie mocnych, trwałych płotów. Było tu na myśli i dobro publiczne, i trochę korzyści osobistéj, bo aczkolwiek cena entrepryzy była nader nizka, ale spotrzebowało się dużo drzewa, które dokądinąd na nic niezdatne, tu poszło w dobréj cenie. Małe to przedsiębierstwo znalazło natychmiast wielkie naśladownictwa. Niespełna w tygodni parę już kilku posiadaczy roli spędzający czas zimowy na biadaniu i narzekaniu na niepowodzenie, zaczęło się kręcić około roboty na kolei. I jakoś na pierwszy raz poszczęściło się niezgorzéj naszym debiutantom, bo ten na budowli jakichś domków, ów na dostawie pewnéj ilości piasku do obalastowania drogi, trzeci znów na rydlach czy łopatach sporo grosiwa zarobili... Skończywszy jedno, na tém nie poprzestali: zaczęto brać coraz więcéj i więcéj obstalunków, i dziś kto wie czy zasmakowawszy w zyskownéj choć ryzykownéj pracy, zechce się z wiosną powrócić do zagonów, w których ich czekają zmudne trudy.

Tak się niechcący obszernie rozpisałem o zajęciach naszych, potrzebach materyalnych, że o stronie moralnéj t. j. o ruchu umysłowym miejsca mi brakuje coś także napomknąć. Odkładam więc to do następnéj korespondencyi tém bardziéj, że i pora będzie właściwsza po temu... Teraz tak u nas jak wszędzie na pierwszym planie było: korzystanie z karnawału. W poście gdy i psująca się droga zatrzymuje każdego w swym kąciku, volens, nolens karmią się strawą duchową. Wtedy i poważniejsze pogadanki na dobie. Nie omieszka skorzystać z takich usposobień wasz korespondent i zebraną cząstkę pożytku skrzętnie odniesie do ogólnéj skarbnicy. *Witold Chłopicki.*

Z MOICH MARZEŃ.

Gdy mi dokucza żywot cichy, blady,
Gdy wieku duszne cięży mi powietrze,
Uciekam myślą pod niebo Hellady,
Pod greckie laury szumiące na wietrze.
W cieniu portyków siadam rozmarzony,
Patrzę: lud śpieszy, mija się, potrąca,
Szeleszczą mężów fałdziste *chitony*,
Jedwabie niewiast błyszczą się od słońca;
Publiczny rynek, wielką zabaw scenę
Naród napełnia krzykami wesela;
Słychać głos fletów—a Pallas-Atene
Jak słup ognisty w obłoki wystrzela.
Idę, gdzie mędrce wielkie prawdy głoszą;
Miejsce zabieram pośród uczniów grona,
Wstrzymuję oddech, i słucham z rozkoszą,
Jak szczere złoto płynie z ust Platona;
Jak kolos myślą maluczkich naucza,
Wiedzy podwoje otwiera przed niemi;
Mówi, gdzie szukać ukrytego klucza
Do skarbów serca i do skarbów ziemi.
Jak potém, w niebo łzawe wzniosłszy oczy,
O Sokratesie, mistrzu swym, wspomnina—
O Sokratesie, co nosił, proroczy,
W pogańskiéj piersi duszę chrześcianina.

Z wolna, ten obraz wraca do błękitu...
Przebiegam duchem dziejów przestrzeń ciemną:
Olbrzym z płomieni, złota i granitu,
Arystoteles zjawia się przedemną.
Zaledwie trwożnym śmiem go dotknąć wzrokiem,
Drżę, bom niepewny, czy się rodzi z ziemi—
Tyle ma blasku na czole szerokiém,
Tyle gwiazd rzuca oczyma orlemi.
Średniowieczności wszak to mistrz jedyny!
Wszak ją nakrywa swym olbrzymim cieniem,
Jak małe wzgórki, jak ciche doliny
Atlas, ugięty pod świata brzemieniem.

I ten mi znika... W wiekowéj oddali
Grecyo czarowna, śpij nakryta nocą!
Przemocą miecza ciebie pokonali,
Tyś pokonała geniuszu przemocą.
Twojego grobu rzymskie straże strzegły,
Lecz z pod kamienia, jako orłów stado,
Wyszły twe myśli i w przyszłość pobiegły—
Tyś zmartwychwstała, ty żyjesz, Hellado!

Po stopniach wieków zadumany schodzę,
Szukam serc wielkich, namaszczonych skroni...
Kędyż ludzkości ukryli się wodze,
Sternicy świata ginącego w toni?
Gdzie znaleźć mężów, coby stanąć śmieli
Z dziećmi Hellady, z kolosami trzema?
Gdzie ludzie-orły? gdzie ludzie-anieli?

Jest i dziś mądrość—ale mędrców nie ma!
Wiktor Gomulicki.

PRZEZ TATRY.

Opis wycieczki odbytéj w Lipcu 1871 roku.

TEKST I ILLUSTRACYE **Antoniego Zalewskiego.**

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 23).

Jak każdy doświadczony przewodnik, nasz Wala idzie z początku jak spętany, tak że możnaby pomyśleć, że jest już zbyt stary na przewodnika; uszedłszy kawałek drogi staje, wdaje się w długie gawędy. Jak niedoświadczeni jeszcze turyści ze świeżemi siłami podróż rozpoczynający, wymijamy częstokroć starego wodza, oskarżając go o zbytnią powolność; ale Wala hamuje zapały, dowodząc mądrze, że kto z razu za prędko idzie, ten powoli dojdzie, a kto z razu powoli zaczyna, ten zachowa większy zapas sił i prędzéj stanie u mety. Nareszcie las się przerzedza, i wspinając się coraz wyżéj, stajemy nareszcie u jego krańców, gdzie wielkąa roślinność ustaje, a zaczyna się strefa kosodrzewu. Kosodrzew jest małém iglastém drzewkiem, którego pień i konary nie strzelają w górę, ale wiją się po nad ziemią jak splecione węże, formując gęste kupki wśród skał rozrzucone. Wegetacya wysokopienna ustaje zwykle w Tatrach na wysokości 4,900 stop, odtąd rozpoczyna się kosodrzewina i rozciąga się prawie do 6,000, przypominając podróżnemu, że już się znajduje w alpejskiéj strefie. Ze wszystkich drzew wysokopiennych najwyżéj rośnie limba, nawet spotyka się jeszcze na wysokości 4,100 stop nad poziom morze. Jest to gatunek cedru (Pinus cembra—Zürbel nusskifer); odmienny jest od właściwego czyli libańskiego cedru, ale jest to ten sam, który na Syberyi cedrem nazywają i którego owoce w kształcie małych orzeszków z Rossyi przychodzą. Rośnie do znacznéj wysokości, igły jéj blizko dwa razy dłuższe od sosnowych, szyszki ogromnéj wielkości, a przy każdym z ich liści u osady znajduje się ziarnko wielkości grochu w cienkiéj łupinie ze smakiem przypominającym smak orzecha. Drzewo limby z silnym i przyjemnym zapachem, koloru w różowy wpadającego, daje wyborny materyał mianowicie na szafy i skrzynie, aromatyczną swą wonią odstręczając owady; trwałością zaś nawet modrzew przewyższa. Z powodu też swych zalet nie uchroniły limby od wyniszczenia ani wysokości, na których rośnie, ani spadzistości Tatrów; niegospodarna ręka wytępiła prawie ten piękny a tak rzadki w Europie gatunek drzewa równie jak modrzew w innych miejscowościach kraju naszego. Tém większa wdzięczność należy się Towarzystwu Naukowemu Krakowskiemu, że wzięło limbę pod swoją opiekę, i zaopbiegając dalszemu jéj niszczeniu poleciło Sieczce i Wali straż nad niemi równie jak nad kozicami i świstakami. Te warstwy wegetacyjne, o których wspominałem dziwny sprawują widok w górach. Stanąwszy na wysokościach i rzuciwszy okiem na okoliczne góry, widzisz jak piętro równo pod strych ucięte naprzód ciemnéj zieleni lasów, wyżéj pasmo kosodrzewu i drobnéj trawki, najwyżéj wreszcie pasmo nagich skał z płatami wiecznego śniegu.

Wszedłszy tedy w strefę kosodrzewu postępujemy powoli, mając na lewo pod nogami naszemi wspaniałe bory zakopańskie, a niżéj rozległy widok na całą Nowotarską dolinę, na prawo zaś widok na coraz to nowe wierzchy, odsłaniające się jedne z za drugich oczom naszym, a między niemi górujący szczyt Swinnicy najwyższy z polskich Tatrów (7,395). Rodzaj dróżki którą postępujemy, nosi w wielu miejscach ślady, że była koniom i wozom dostępna i nieraz małym kosztem w skale wykuta. Wielu opowiada nam legendę o rozbójniku, który za dawnych czasów zyskał przebaczenie swych zbrodni za odkrycie obfitych kopalni kruszcu, dla sprowadzenia którego do kuźnic tę drogę w skale wykuto, a ułaskawiony i poprawiony rozbójnik przełożonym fabryki został. Nie wiem o ile legenda jest prawdziwą ale ta droga świadczy o dawnych na większą skalę górniczych zakładach w téj stronie i to w bardzo odległéj przeszłości, gdyż zaledwie ślady jéj pozostały, i dziśby nikt tędy nie pojechał. Po parogodzinnym pochodzie wstępujemy nareszcie na grzbiet góry, po którym ciągle ukosem szliśmy, zwany Ukrociem Kasprowem; pod naszemi nogami otwiera się raptownie dzika kotlina „Gąsienicowych Stawów", a w niéj rozsypane liczne „szałasy", letni pobyt pasterzy tatrzańskich, bacami i juhasami zwanych. Ruch, gwar, dymy ognisk, szczekanie ogromnych psów pasterskich, bek i dzwoneczki owiec, dziwny kontrast stanowią z dzikością téj alpejskiéj pustyni.

Po raz pierwszy widzimy szałasy; są to domki sklecone z kamieni i desek, w jednych mieszkają

pasterze, w drugich skład mleczywa i fabrykacya serów i bryndzy. Pasterze otaczają nas z ciekawością i wypytują się naszych przewodników o nowiny z domu; traktują nas wyborném mlekiem i żętycą, która tam lepiéj smakuje niż ta, którą dają pić pacyentom w zakładach leczniczych, i zdaje się, że chorzy potrzebujący żętycy, powinniby zamieszkać w szałasach na czas kuracyi. Jeśli pasterze ciekawie na nas patrzą, my niemniéj ciekawie przyglądamy się ich całemu gospodarstwu. Baca, naczelnik téj drużyny, jest to góralski kapitalista, pakciarz, biorący w entrepryzę owce całéj gromady; pod jego komendę oddane są owce i ich pasterze, których juhasami zowią. Warunki téj dzierżawy są zupełnie patryarchalne, na zasadzie odwiecznego obyczaju. Baca daje gospodarzom tyle a tyle funtów bryndzy od sztuki owcy, a co nad tę ilość wyrobi jest zyskiem. Juhasy są także płatni w naturze pewną proporcyą bryndzy, i prócz tego dostają tyle mleczywa ile go zjedzą, a mąkę i warzywo przynoszą im co kilka dni z domu. Pasterze ci z daleka dają się rozpoznać od innych górali kolorem koszul, które są zupełnie czarne jak sadza, z powodu, że wychodząc z domu gotują je w łoju i wędzą w dymie, a jak je na wiosnę włożą, tak dopiero w jesieni wróciwszy w doliny, je zdejmują, szczególna zaś ta preparacya zabezpiecza ich od owadów.

Pozostalibyśmy tu chętnie dłużéj na żętycy i świeżém mléku, ale droga daleka, Wala nagli do wymarszu, ruszamy tedy daléj. Wchodzimy w dolinę Czarnego Stawu, którego piękny widok zbyt prędko mijamy; przechodzimy przez potoczek spadający do Czarnego Stawu z wyżéj położonego Zmarzłego, i pnąc się w górę po ogromnych złomach granitu, dosięgamy kotliny Zmarzłego Stawu. Wkrótce i ten pod nogami naszemi leży, pokryty wiecznym lodem i śniegiem, i czerniejący tylko w środku jak tające na wiosnę oparzelisko; tutaj stajemy na chwilę dla nabrania sił, które nam wkrótce będą bardzo potrzebne.

Jesteśmy u stop strasznego „Zawrotu;" jest to rodzaj krateru, rozciętego tylko od północy, by dać odpływ potokowi, o którym wspomniałem; ze wszystkich zaś innych stron piętrzą się w kształcie amfiteatru strome skały, brzegi zaś krateru wyzębione, a te zęby to wierzchołki olbrzymich szczytów: Koziego Wierzchu i Granatów. Żeby mieć wyobrażenie, jak olbrzymi jest ten krater i jego ściany, dosyć powiedzieć, że kiedy Zmarzły Staw znajduje się na wysokości 5,670 stop nad powierzchnią morza, szczyt Kozi Wierzch jest na 7,316 stop, Granaty 7,101, a najniższy grzbiet Zawrotu, na który się piąć mamy, 6,500. Zdaje się niepodobieństwem wydostać się tamtędy, tak wszystkie w około ściany wydają się stromemi, a jednak tędy nasza droga, i innéj nie ma. Będziemy musieli piąć się naprzód po ogromnych głazach, daléj po tak zwanych piargach, czyli zsypach ruchomych kamieni, a nareszcie rozpadliną napełnioną zbitym śniegiem, w którym toporkami będziemy sobie wycinali stopnie; gdy zaś, jak mówiłem, jesteśmy teraz na 5,670 stop nad poziom morza, a grzbiet Zawrotu najniższy jest na 6,500, mamy więc przed sobą drapanie się prawie pionowe na 830 stop wysokości!

Lecz, stójcie! patrzcie! zawoła jeden z górali, oto kozice! Natężamy wzrok, śledzimy nim w kierunku przez górali wskazanym, nareszcie je spostrzegamy na stokach Koziego Wierzchu. Z téj odległości wydały się nam jak rude robaczki pełzające na tle ciemnych skał, i tylko ciągły ruch tych punkcików zdradzał ich bytność. Ale że droga nasza wypadała nam ku téj stronie, zbliżamy się coraz więcéj, i nareszcie jesteśmy o parę tysięcy kroków na prawo od nich. Było ich trzy: jedna z nich najspokojniéj leżała pod cieniem skały, a dwie drugie czepiały się na stokach góry, gryząc drobną i gęstą trawkę, pomiędzy głazami małemi płatkami gdzie niegdzie rosnącą. Pomimo hukania a nawet strzelania z rewolwerów w powietrze, którém, przypatrzywszy się im dowoli, chcieliśmy je zmusić do skoku, aby módz podziwiać ich zręczność, ani myślały się poruszyć z miejsca. Przestaliśmy więc hałasować, widząc, że się to na nic nie zdało, gdy jedna z nich ulitowawszy się wyraźnie nad nami, albo też w chęci popisu, śmignęła kilku susami w górę, i trafiwszy na szeroki płat śniegu, sunęła przezeń, rysując się jak sylwetka czarna na białém tak, żeśmy mogli przypatrzyć się jéj kształtom, a nawet dostrzegać wyraźnie różki jéj w tył zakrzywione. (8).

Uradowani byliśmy ze spotkania kozic, które jest dość rzadkiem. Wala opowiadał nam wiele szczegółów tyczących się tego interesującego i tak już rzadkiego gatunku zwierząt. Jest to *Antylope rupicapra*, ten sam rodzaj, który w Alpach zowią Niemcy Gemse, Francuzi Chamois, u nas dawniéj dzika koza; dziś miejscowym góralskiém narzeczem już powszechnie nazwa „Kozicy" jest przyjęta. Polowanie na to piękne zwierzę połączone ze zwykłemi takowego niebezpieczeństwami było dawniéj ulubioném zajęciem górali, było poezyą i heroiczną stroną ich żywota; pamięć tego przechowała się w licznych śpiewkach góralskich. Ale niepomiarkowane ich wyniszczanie przy niewielkiéj przestrzeni Tatr, na których się jedynie kozice znajdują, gdyż tylko na najwyższych wierzchołkach w sąsiedztwie wiecznych śniegów żyć mogą, doprowadziło do tego, że parę lat temu, jak nas Wala zapewniał, już tylko *sztuk ich kilka* znajdowało się na polskiéj stronie Tatrów, i gdyby dotychczasowe gospodarstwo potrwało, byłyby już dzisiaj może do szczętu wyniszczone. Sam Wala i Sieczka namiętni myśliwi, a w prostocie ducha czyniący to co i drudzy, niemało ich wytępili. Nareszcie za inicyatywą Dra Eug. Janoty, Komissya Fizyograficzna Towarzystwa Naukowego Krakowskiego ujęła się za kozicami, i niewięcéj jak przed trzema laty wyjednała uchwałę sejmową zabraniającą dalszego polowania na kozice, równie jak i na świstaki, (które podobnież były wytępiane), i to pod ciężką karą pieniężną i więzieniem. Dr. Janota przedstawiwszy Wali i Sieczce obowiązek szanowania tak rzadkiéj osobliwości natury jako dobra narodowego, umówił ich obu za pewne roczne wynagrodzenie, jako stróżów wydanego prawa. Poczciwi górale wybornie myśl tę pojęli, i zobowiązawszy się na to przysięgą, z dotychczasowych tępicieli stali się najgorliwszymi obrońcami kozic i świstaków, jako też limb, jak o tém wspomniałem, i nietylko sami nie polują, ale jak mi mówili, nie bez niejakiego żalu, młodzi górale „i rodzonego ojca by oskarżyli," jeśliby miał kozicę ubić. Skutki opieki okazały się dotykalnie. Już dzisiaj z kilku sztuk, ilość ich podług Wali dochodzi do 40, a w lat kilka można się spodziewać, że się w dziesięcioro pomnoży. Już się ukazują na Giewoncie gdzie ich od niepamiętnych czasów nie bywało, i coraz częściéj się napotykają w wycieczkach, jak zaś się zrobiły swojskie, tego sami byliśmy świadkami. Poczciwy Wala spełnia *con amore* swoje posłannictwo stróża kozic, i przypatrując się z nami tym, któreśmy spotkali, mówił z zadowoleniem: „Paś się, moje bydełko!"

Napatrzywszy się do syta „bydełku" Wali, drapaliśmy się daléj w górę po zsuwających się „piargach," aż doszliśmy do jeszcze bardziéj stroméj spadzistości, pokrytéj stwardniałym śniegiem. Ominąć go było niepodobna, jest to bowiem wąwoz, czyli raczéj szczelina nabita śniegiem z obu stron prawie prostopadłemi otoczona ścianami; tu nasi przewodnicy i my sami uzbrojeni toporkami, które góralom razem za broń, za laskę i za narzędzie służą, a które oni ciupagami nazywają, rąbaliśmy sobie w śniegu rodzaj zacięć, czyli stopni, i zygzakiem pięliśmy się coraz wyżéj, stawiając jeden za drugim *nogę w nogę*. Było tego z dobrą godzinę, która nam się wiekiem zdała, bo trudno sobie wyobrazić bardziéj męczącéj podróży. Co kilka kroków stawaliśmy, a ci z nas, którzy nie byli skłonni do zawrotu głowy, mogli spojrzawszy w dół widzieć pod sobą w znacznéj odległości czerniejący Zmarzły Staw, i niżéj jeszcze dolinę Czarnego Stawu. Nareszcie śnieg się skończył, jużeśmy blizko od grzbietu Zawrotu, jeszcze kilka wysileń, znowu po ruchomych głazach, i jesteśmy na grzbiecie Zawrotu! Pomimo niesłychanego zmęczenia tego pięcia się w górę po śniegu, podczas którego niejeden z nas się zaklął, że po raz ostatni w życiu na Zawrót się gramoli, widok jest tak wspaniały, że się zapomina o świeżych trudach. Przed nami panorama najdzikszych szczytów, za nami przepaści i cały północny stok Tatrów, a daléj jeszcze dolina Nowotarska i ginący w oddali niezmierzony horyzont, po Kraków się rozciągający. Wysokość, na któréj jesteśmy (6,500') sprawia, że czujemy się już w krainie podniebnéj, prawie na równi z najwyższemi szczytami Tatrów. Pomimo że to lipiec, niebo jasne i słońce świeci, zimno tu jednak jest dosyć dojmujące i wiatr mroźny dmie przeraźliwie, długi więc odpoczynek, zwłaszcza zgrzanym od świeżych wysileń, mógłby być niebezpieczny. *(d. c. n.)*

LITERATURA ZAGRANICZNA.

PROJEKT REFORM SPOŁECZNYCH.

Esprit nouveau dans l'humanité; par Henri Brissac.—Paryż, 1872 (deux. éd.).

Krytyka urządzeń społecznych nie jest bynajmniéj rzadkością w literaturze świata. Wielkie postulaty reform stawiane przez umysły wyborowe, jak Platon, Rousseau, Wolter; cząstkowe insynuacye co do zmian w pewnych gałęziach administracyi i instytucyach powszechnych lub krajowych, rozsiewane przez mniéj głośnych ale poważnych myślicieli, upowszechniane przez powieściarzy tendencyjnych, — nie były bez wpływu na zmianę i postęp w stosunkach socyalnych: im także, obok usiłowań kosztowniejszych, należy się choć cząstka zaszczytu za zrobienie wyłomu w uciążliwéj jednostajności, w przesądach i obojętności na głośne lub ciche wołania o właściwsze zastosowanie form społecznych do życia. Dawnemi czasy, kto czuł się powołanym zabrać głos w sprawie dotyczącéj dobra ogółu i myśli swéj przypisywał pewną ważność społeczną, a nie był dość znamienitym sam przez się iżby ją bezpośrednio zaprodukować mógł i popierać w rządzie, — musiał z nią wiele ponieść zachodu nim wyszła na jaw i wcieliła się w słowo. Trzeba było pisać księgę, upowszechniać, poddawać się pod cenzury duchowne i świeckie, i nieraz gorzko zapłacić za ten głos częstokroć wołającego na puszczy. Dziś reformator w większéj części ucywilizowanych społeczeństw ma wszystkie drogi dla myśli otwarte: tysiączne organa prassy publicznéj, katedrę uniwersytecką, trybunę parlamentarną, meetyngi, kongressy; to też próby ulepszeń w prawie powszechném odbywają się

tam nieustannie a przynajmniéj nikt skarżyć się nie może na brak sposobności do wywnętrzenia się ze swych przekonań.

Te jednak mniéj lub więcéj znaczne korzyści osiągane drogą urzędowego upominania się, te powolne i cząstkowe zmiany w konstytucyach i instytucyach nie zadowalniają niepodległych myślicieli, którzy stawiając się ponad interesami miejscowemi, ogarniają wzrokiem nie już pojedyncze jakieś państwa i urządzenia, ale świat cały; i do takiego to grona dziełem swém zapisał się p. Brissac.

Pod pretensyonalnym nieco tytułem przedstawia on program bardzo radykalny, według którego chciałby mieć urządzoną ludzkość i ani chwili nie wątpi, że po upływie pewnego czasu, np. kilku a może kilkunastu wieków, program ten spełni się co do joty; on jeden bowiem, według jego zdania, zgodnym jest z naturą, prawami i godnością ludzką, i od jego spełnienia zależy szczęście człowieka; ale też program ten przeistacza całą dzisiejszą budowę społeczną od szczytu do fundamentów.

Żadne z mnóstwa dzisiejszych społeczeństw nie miało, według zdania autora, podstawy umiejętnie wyrozumowanéj; żadne nie opierało się na jakimś zbiorze zasad przyjętych przez ogół; wszystkie owszem istnienie swe zawdzięczają sile i przypadkowi; ztąd téż żadna z tych zasad nie jest zdolną wyrodzić *szczęścia*, najwyższéj, wiecznéj i powszechnéj aspiracyi człowieka. Wszystko co wyrodziły te sztuczne i skomplikowane cywilizacye, jak: mechanizm administracyjny i sądowy, erudycya, nauka i sztuka, zostaje w stanie dzieciństwa! Cóż więc potrzeba światu, aby raz wszedł w dobę wieku młodzieńczego?

Na to zapytanie autor odpowiada krótko, i po takiém stanowczem poniżeniu wszelkich zdobyczy intellektualnych, zbyt ogólnikowo. Potrzeba, mówi, aby świat otworzył serce i umysł na przyjęcie dobra, i zdobył się na wolę postępowania ku niemu.

Rozjaśniając ten ogólnik, pragnie on aby świat przestał raz z takiém zajęciem badać przeszłość, która umarła, a zajmował się więcéj przyszłością, która ma nierównie więcéj rzeczywistości; dowodzi szeroko, że za jedyne podstawy społeczeństw przyszłych obrać należy: prawo do szczęścia, urzeczywistnienie wszystkich naszych pragnień, moralność zespoloną ze swobodą. Warunkiem zaś tego raju ziemskiego ma być: zniesienie antagonizmów, przeistoczenie kuli ziemskiéj za pomocą umiejętności, stowarzyszenie ludzi powszechne, dobrobyt ogólny i światło dla wszystkich. Chodzi więc tylko o wykazanie, że ludzkość ma istotnie moc stworzenia tych skarbów życia i powiększania ich w nieograniczoność.

Nie będziemy tu za autorem opisywać tego Eldorado, w jakie zamienić się ma siedziba ludzka, zawsze rozumie się w dalekiéj przyszłości, dzięki postępowi nauk przyrodzonych, przemysłowi i całéj kulturze intellektualnéj opierającéj się na wzajemnéj miłości ludzi. Człowiek będzie wtedy istotnym panem ziemi i sił przyrodzonych: dobrze określona i zastosowana hygiena uczyni go zdrowym i silnym; tanie wodne, great-estern-y, których dzisiejsze są ledwie miniaturą, pruć będą morze z szybkością nieporównaną; tunele poprzedziurawiają najniedostępniejsze góry; prędzéj czy później kierunek statków powietrznych przejdzie pod kierunek woli człowieka; meteorologia dostarczy danych potrzebnych do obchowania blizkich wstrząśnień atmosferycznych; zdolni inżynierowie umożebnią uprawę pustyń; żar sprowadzony sztucznie zpod równika ogrzeje podbiegunowe strefy; chemia rolnicza upłodni całą ziemię; słowem użycie umiejętne i metodyczne sił natury zamknie erę ubóstwa i obawę przeludnienia. Tym sposobem praca, która dziś jest czemś niewolniczo poniżającém, stanie się tylko miłém przepędzeniem czasu, godném takiéj istoty jak człowiek, a własność ziemska monopolem wszystkich, jak powietrze i woda. Taki stan oczywiście, doprowadzić może do zniszczenia zawiści i antagonizmów, do równości i zgody; tak jak postęp wyobrażeń doprowadzi do jedności religii, prawa i nawet.... nawet do jedności języka. Jakimże to wtedy odpowiednio modyfikacyom uledz muszą sztuki i nauki wyzwolone, architektura i dramat, literatura i muzyka; kiedy te wszystkie uczucia różnorodne, chaotyczna walka dobrego i złego, harmonia smutku i wesela, dziś wstrząsające duszą, przestaną istnieć faktycznie. Wtedy, zdaje się, człowiek w utworach poezyi i sztuki będzie tylko wielbił wielkość i ubłogosławienie swoje, królestwo boże na ziemi.

Jesteśmy dziś, zaprawdę, tak daleke jeszcze od tego stanu, że nie mamy nawet zmysłu na wyobrażenie go sobie ani na przejęcie się nim. Nie wiemy, czy by nam było zabawnie w nim żyć, czy nudno, bo jesteśmy dotąd, według p. Brissaca, dziećmi; a więc tak jak dzieci, rozkoszując się piłką i koziołkami a zapomniawszy o rózdze, która za chwilę może się spotkać z naszą epidermą, nie pojmujemy rozkoszy osób dorosłych, które romansują albo grają w wista.— I naturalnie, zapytani dziś o zdanie w téj materyi, odpowiedzielibyśmy jak odpowiadają dzieci zaledwie dojrzałe do katechizmu, że taki stan człowieka nie jest nam bynajmniéj obiecanym, przynajmniéj według religii dziś w najucywilizowańszym świecie obowiązującéj. Królestwo boże, powiadają nam, nie jest z tego świata; wszystko łatwiéj zmienić jak naturę człowieka, zabić w nim namiętności, które nie tém to inném ujściem wylać się muszą na zewnątrz i jak lawa wulkaniczna ślady zniszczenia zostawić po sobie. Czy więc pieszo po ściernis-kach, czy wygodnym wagonem lub lewiatanem, człowiek, według tego, zawsze będzie niósł z sobą krzyż swój, na którym rozpinają go potrzeby i namiętności własne, będzie walczył choćby z samym sobą; inaczéj gdzieżby było pole jego zasługi. — Ale są to rozumowania wsteczne, zarażone przesądem jednéj religii, która nie ma uznania powszechnego, gdy tymczasem według religii postępowéj, religii przyszłości, jaką zapowiada p. Brissac (str. 206),— „kary i nagrody przyszłe są chimerą, gdyż grzech wszelki ma przyczynę w Bogu, a on nie może chcieć karać stworzeń swych za skutki organizacyi, któréj sam jest autorem.” Skoro więc niema kary i nagrody przyszłéj, toć i pole zasługi jest chimerą, a zatém i całe nasze poprzednie rozumowanie upada.

Gdybyśmy jednak obstawać chcieli przy swojém zdaniu, to jest, gdybyśmy dowodzili, że przy największym postępie świata, człowiek może być tylko szczęśliwszym, nie zaś obsolutnie szczęśliwym, jak to p. Brissac mieć chce i co uważa za pryncypalny cel dążeń człowieka; nie idzie zatém mówię, abyśmy zapierali możliwość postępu a nawet, w kolei wieków, takie udoskonalenie wszystkiego, jakie on wymownie w rozdziale „o zdobyczach umysłu ludzkiego” opisał. Juściż, jeżeli porównamy to co było przed wieki, choćby na początku ery naszéj, z tém co jest dziś, na jednym odłamie kuli ziemskiéj; to, nie przypuszczając jakichś kataklizmów dziejowych, możemy puścić wodze najśmielszym hypotezom.

Ten rodzaj wróżby na przyszłość, wystawianie w szczegółach transformacyi świata i przenoszenie się o kilka wieków naprzód,— należało przed niejakim czasem do humorystyki literackiéj, a przeto i tu mogłoby się komuś wydawać śmieszném. Uprzedzić zatém winniśmy, że autor nie myślał wcale o krotochwili, ale owszem ubolewając z całą prawdziwością uczciwego uczucia nad obecnym stanem społeczeństw, w tym apodyktycznym opisie przyszłości, przedstawia niejako to co ludzkość przy pewnych warunkach wykonać może i do używania czego ma niezaprzeczone prawo.—Lecz wszystko co dotąd powiedział, byłoby czysto chimeryczném i banalném, gdyby się ograniczył na postulatach a nie wskazał, w czém mianowicie leży przyczyna opóźniania się postępu i jakie go przyspieszyć mogą środki.

Tu oczywiście następuje rozbiór dotychczasowych instytucyi ludzkich, jak: wychowanie, religia prawodawstwo międzynarodowe, i nareszcie— rodzina, ta ostatnia oznaczona jednym wyrazem *miłość*. Jakkolwiek autor niejednokrotnie wieki dotychczasowe nazywa dzieciństwem świata, z czego wynikałoby, że i wszystko co on dotychczas postawił są to babki albo ogródki z piasku, które wypadałoby znieść przy urządzaniu sceny na prawdziwie męzką budowę, jednak tego on bynajmniéj nie czyni. W umyśle swoim nie uczuł on potrzeby zniesienia żadnéj z instytucyi fundamentalnych istniejących, ani postawienia niebywałéj. Pokazuje się więc, że ten świat dotychczasowy, jeżeli jest dzieckiem, to dosyć dowcipném, skoro postawił tyle rzeczy życiowych, wpośród których ludzie myślący po męzku nie mają nic do dodania ani do odjęcia, a tylko do przeobrażenia i ugruntowania na innych zasadach. Jest to niejako milcząca pochwała dla Platona, Lykurga, Kopernika, Napoleona, oraz dla wielu zbiorowych, bezimiennych, usiłowań myśli i bezpośrednich rewelacyi ducha; pochwała, którą przecież świat dotychczasowy winien porachować p. Brissacowi. *(d. c. n.)*

KONIE DWORSKIE.

Jednym z najbardziéj zajmujących pomysłów artysty naszego Juliusza Kossaka jest szereg akwareli przedstawiających wyczerpująco charakterystykę wierzchowców i pociągowców rasowych i nierasowych, codziennie przed oczyma naszemi przesuwających się. Ponieważ ta praca swojego czasu na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych budziła zajęcie znawców sztuki, nie potrzebujemy więc dodawać objaśnień o charakterystyce pojedynczych grupp. Czytelnicy Wieńca potrafią ocenić ile prawdziwych i zajmujących zalet mieści się w tych utworach sztuki znakomitego w swoim rodzaju artysty.

JULIA W CELI OJCA LORENZA.

W czasie kiedy jeden z najznakomitszych utworów Szekspira „Romeo i Julia” stale znajduje się na repertuarze naszego teatru, zdaje się, iż będzie rzeczą zajmującą dla naszych czytelników przyjrzeć się jednéj scenie z tego dramatu, pomyślanéj i ułożonéj w sposób pełny powagi, piękności i prawdziwie stylowych zalet. Spokój, głębokość wyrazu piękne linie ogólne, wyborne obmyślane draperye, ściśle zastosowana wielkość postaci do ram obrazu składają się na zalety niepospolite tego dzieła sztuki.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 24-go.

KALECY (*)

Komedya w 3-ch Aktach

przez

Zygmunta Sarneckiego.

Artystom Sceny Warszawskiéj, którzy przyjęli udział w przedstawieniu komedyi „Bezinteressowni" i zapewnili jéj powodzenie. Wdzięczny Autor.

O S O B Y.

Henryk Tworzycki.	Lekarz.
Karol Radecki.	Józef służący.
Józef Łański.	Kamerdyner.
Floryan Stawnicki.	Hrabina Milska.
Jan Szczerba Kadziński.	Stefania.

Rzecz dzieje się na wsi, w majątku hrabiny.

Akt I.

Scena przedstawia cienisty ogród. — Na prawo na pierwszym planie dom (wiejski dworek) w środku którego drzwi szklanne na wpół otwarte w progu których parę stopni schodów—Tuż obok kilka okien jedno z nich na wpół otwarte—Nad parterem facyatka o dwóch oknach i drzwiach z balkonikiem. Daléj na trzecim planie prawie w głębi widać po za kłąbem drzew róg oficyny i jedno okno. Pod niem leży drabina. Na lewo na pierwszym planie altana w niéj duży fotel, stolik i kilka wyplatanych krzeseł. Na prawo pod drzewem drewniana kanapka. W środku sceny duża rabata kwiatów około któréj w nieładzie rozstawione ogrodowe stołki.

Scena I.

HRABINA, STEFANIA I KAMERDYNER.

(Po podniesieniu zasłony, hrabina prowadzona pod rękę z jednéj strony przez Stefanią, z drugiéj przez kamerdynera, przechodzi z domu do altany,—kamerdyner trzyma w ręku szczudła).

HRABINA.

(Usiadłszy na fotelu pod altaną—kiedy kamerdyner kładzie obok niéj na krześle szczudła a Stefania schyla się żeby jéj przysunąć stołeczek pod nogi, — całuje ją w czoło).

Dziękuję ci mój Stefanie!

STEFANIA (całując ją w rękę).

Zaraz wracam i czytać będę... tylko muszę naprzód skończyć dyspozycyę popołudniową z ekonomem.

HRABINA.

Idź, idź panie rządco... tylko niemarudź długo...

STEFANIA.

Pięć minut pani hrabino (przykłada dłoń do czoła jakby salutowała i wybiega przez drzwi domu).

HRABINA (do siebie smutnie).

Oh! to życie jakie ciężkie i bolesne. (obraca się i spostrzega kamerdynera) Na co czekasz?

KAMERDYNER.

Proszę pani hrabiny źle się u nas dzieje.

HRABINA.

Co czy nowe skargi na skąpstwo i energię panny Stefanii. Jeśli tak to proszę odejść... plotek domowych nielubię i niesłucham... dosyć mnie namęczyliście dopóki jéj niebyło...

KAMERDYNER.

Ja nie z plotkami przychodzę... (n. s.) a to się w niéj rozkochała!

HRABINA.

O cóż więc chodzi?

KAMERDYNER.

Pani hrabina dopiero co wstała a panna Stefania od rana była w polu. Oficer stojący kwaterą w Ladówce wynajął nam żołnierzy, któremi dziś pewno skończymy kopać kartofle... Panna Stefania wypłacała im na folwarkach... niewiem zatém czy powiedziała...

HRABINA

Co?

KAMERDYNER.

Że pan Kadziński już całkiem sfiksował...

HRABINA

Jakto? (wchodzi Stefania) Co ja słyszę o naszym Janie Szczerbie?... (do kamerdynera) Można odejść!

KAMERDYNER (n. s.)

Można odejść panie psie. Oj! to ta ją tak przerobiła.

(wychodzi)

HRABINA

Siadajże koło mnie i opowiedz.

STEFANIA

Pani hrabina uważała że nasz poczciwy Kadzińsio...

HRABINA

Poczciwy jak poczciwy... ale biedny...

STEFANIA

Od kilku tygodni był melancholijny...

HRABINA

Uważałam... ale niewiedziałam czemu to przypisać...

STEFANIA

Mimo że go pani hrabina trzymała tu jako rezydenta... po ucieczce za granicę i bankructwie, jednego z finansistów warszawskich, przez co niby stracił majątek...

HRABINA

Niekoniecznie uczciwie nabyty...

STEFANIA

Miał on to tu, to ówdzie, polokowane małe kapitaliki...

HRABINA

No proszę... a krył się z tém przedemną. Ja myślałam że nędza go gniecie i przez pamięć... (z westchnieniem) na przeszłość,... dałam mu chleb łaskawy...

STEFANIA

Otóż los mu niesprzyjał a raczéj chęć pozyskania wysokich procentów przy powierzaniu pieniędzy, była jego złym doradcą. Dłużnicy jeden po drugim tracili majątki i sumka po sumce przepadała. Kadziński smutniał, cierpiał skrycie... i co najdziwniejsza, że przesądny jak stara wiejska baba, wszystkie swoje niepowodzenia mnie przypisywał...

HRABINA

Bo cię nienawidził, jak wszyscy, jak ten mój dom cały który wyprowadziłaś z nieładu ukracając nadużycia i kradzież...

STEFANIA

Sama słyszałam kiedyś jak tam pod dużą lipą mówił do Szmula dzierżawcy młyna: „od czasu jak ta czarownica pół-kozak pół dziewczyna tu weszła, wszystko mi się niewiedzie!"... Otóż wczoraj wieczorem odebrał list przy herbacie...

HRABINA

Nie rozpieczętował go jednak przy nas i nieotworzył...

STEFANIA

Bał się aby wzruszenie go niewydało... Ale wcześniéj jak zwykle zerwał się od stołu i niemogąc niecierpliwości poskromić, przeczytał widocznie w sieni... bo usłyszałam chałas, jakby coś upadło... Wybiegłam z jadalnego pokoju znalazłam go leżącego na ziemi bez zmysłów...

HRABINA

A powróciwszy nic mi o tém niepowiedziałaś

STEFANIA

Niechciałam pani przerazić... odniesiono go do oficyny, posłałam po felczera... a Szmul który się kręcił koło domu, wyznał mi pod sekretem że nasz biedny Kadziński stracił ostatnie dziesięć tysięcy, ulokowane na Żurawce, którą sprzedało Towarzystwo...

HRABINA

Żal mi go... Ale jakże się przekonałaś, że zupełnie (wskazuje palcem po czole).

STEFANIA

O mało co nie dotkliwie... bo położywszy panią hrabinę lulu ..

HRABINA

Wiesz, niedobrze spałam... ale ja teraz prawie nigdy dobrze niesypiam... Przepraszam że ci przerywam... (z westchnieniem) Starość!... a sama umieram z ciekawości...

STEFANIA

Otóż gdy pani hrabina była już w swojem łóżeczku... poszłam do kuchni zadysponować obiad na dziś... kiedy zastanawialiśmy się z Hiacentym czy dać zupę rakową na kleiku czy na bulionie... wpada czerwony jak upiór Kadziński, z siekierą w ręku i krzyczy: „muszę ją zabić, muszę zamordować tę czarownicę!"...

HRABINA

Bój się Boga... byłabym umarła ze strachu!..

STEFANIA

Ja spojrzałam mu ostro w oczy... i kiedy zamierzał się mnie uderzyć, dzięki gimnastyce o któréj w wychowaniu mojém nie zapomniano, chwyciłam go tak mocno za rękę, że aż mi krew z. za paznogci wystąpiła... Niech pani hrabina zobaczy, dotąd są znaki zsiniałe i czerwone...

HRABINA (z mimowolném uniesieniem)

Ślicznie mój Stefanie... kocham cię za twoją odwagę... ale mi tych łapek żal bardzo... i drugi raz...

STEFANIA

Drugi raz to się już nieprzytrafi, bo Hiacenty który mi sprzyja i wysoko ceni moje kulinarne zdolności, chwycił go w pół obalił na ziemię... kuchta dopomógł i związanego zaniósł do stancyjki w oficynie... Posłałam dziś rano po lekarza a raczéj prosiłam pana Tworzyckiego, dla którego po sąsiedzku zgodziłam hułanów do kopania kartofli, u grzecznego rotmistrza z Ladówki ..

(*) Niektóre pisma warszawskie zamieszczając recenzye o „Bezinteresso wnych" wspomniały, że *Kalecy i Umarli* mają z pierwszemi stanowić trylogią. Nazwa ta tu, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, zastósowaną być nie może. Pewien ciąg przewodniéj myśli i charakterów nie stanowi jeszcze téj jedności, jakiéj trylogia wymaga, a jedynym może błędem, jakiego się autor wystrzega, jest pretensyonalność i zuchwała chęć mierzenia swoich utworów szerokim cyrklem doskonałych form sztuki, urobionych przez mistrzów. Co pisze, pisze po swojemu, w dobréj wierze, dla wywołania dyskussyi, bo do nauczania i nawracania, nie rości sobie najmniejszego prawa. Dziś dając czytającéj publiczności „Kaleków" objaśnia, że to nie jest druga część trylogii, ale zaledwie obszerny trzyaktowy epizod, łączący treść „Bezinteresownych" z treścią „Umarłych." Niemoże nadto zaręczyć, czy po tych ostatnich następne jego sceniczne prace nie będą się wiązać z poprzedniemi jakąś nicią wysnutą z całości téj pierwszéj trój-komedyi.

HRABINA

To Henryk był tutaj?

STEFANIA

Nie — ale rano spotkałam go w polu jadącego do miasta... przyrzekł mi przywieść doktora... Za chwilę go się spodziewam.

HRABINA

Ty się z panem Tworzyckim często spotykasz?

STEFANIA

Bardzo często.

HRABINA.

Ja się o ciebie boję.

STEFANIA (sucho).

Dla czego?

HRABINA.

No, no.... ja niebadam.... bądź ostrożna. Silna jesteś w ręku ale tam (wskazuje na serce) każda z nas słaba....

STEFANIA.

Pani hrabino ja się i tego wroga płci naszéj nie lękam bo mam stróża (wskazuje na głowę) który mnie dotąd bronił w bardzo trudnych chwilach....

HRABINA.

Znam twoje życie. Ale dotąd niekochałaś a łatwiéj walczyć z losem jak z sercem .... Przeżyłam dużo i mówię ci to z doświadczenia, srogiemi zawodami nabytego.

STEFANIA (przerywając)

Nie zimno pani hrabinie?

HRABINA.

Nie moje dziecko... chociaż się czuję mocno osłabioną...

STEFANIA.

To nietraćmy czasu... do czytania do czytania (bierze książkę która leżała na stole).

HRABINA.

Ah! i to czytanie!... Jak sobie pomyślę, że ty połykasz przez poświęcenie dla mnie tę całą dzisiejszą niezdrową literaturę francuzką....

STEFANIA (na wpół ironicznie).

A — nietylko francuzką!!! (po chwili z przekonaniem) Przytem.... cóż robić przeczytaliśmy całą naszą poważną bibliotekę.... Księgarz z Warszawy przysyła nowości, które brzmią w uszach twoich pani jak miłe echa wesołego świata zawcześnie przez ciebie opuszczonego, które stanowią jedyną może rozrywkę... Co do mnie niebój się pani, książki mnie niezepsują niech mi hrabina wierzy. Wszystko co lekkie lub brzydkie... głowy mojéj i serca niełatwo się chwyta, a niema tak złego dzieła, aby się z niego czegoś dobrego niemożna było nauczyć.

HRABINA.

Tak to się mówi, choć w istocie...

STEFANIA.

Czyż przytem niejestem twoim Stefanem, silnym i zdrowym mężczyzną, a nie jakąś mdłą i słabą Stefanią wychowaną pod szkłem lub w bawełnie.

HRABINA.

Moje dziecko... ja wiem, że ja ciebie psuję... cóż ja winnam kiedy mnie tak rozpieściłaś, zbałamuciłaś... oczarowałaś powiem jak Kadziński.

STEFANIA.

A źle z tem pani hrabinie?

HRABINA.

O! bardzo dobrze... I tylko przy tobie biedna i smutna kaleka zapominam o nudnym, pustym życiu bez celu, o moich nogach... i o moich szczudłach. (Stefania całuje ręce hrabiny — powstawszy spostrzega wchodzącego Henryka i postępuje żywo naprzeciw niemu).

Scena II.

CIŻ SAMI I HENRYK.

HENRYK (podając rękę Stefanii).

Przywiozłem z sobą doktora.

STEFANIA.

Pani hrabina wybaczy muszę pójść rozmówić się z lekarzem.

HENRYK.

Zwłaszcza, że się śpieszy do chorego przyjaciela... Ztąd o milę...

HRABINA.

Idź, idź a nieprzyprowadzaj go do mnie bo by mnie wyłajał, że się nie leczę i chciałby pewno zapisać mi receptę... a ja na samą myśl o aptece, miksturze i pigułkach zemdleć jestem w stanie. Jakich ja kuracyi nieprobowałam a wszystko nadaremnie. (Stefania wybiega)

Dzień dobry panie Henryku.

HENRYK (wchodząc do altany).

Dobry dzień pani — a wolno przyjść i ucałować jéj ręce?...

HRABINA.

Wolno, wolno! Siadaj tu koło mnie. Coraz czuję się słabszą, cały dzień prawie przepędziłam w łóżku... Bardzo ci dziękuję żeś nas odwiedził.

HENRYK.

Ja tu przypadkiem zajechałem... z rana spotkaliśmy się z panną Stefanią... kazała mi...

HRABINA.

Wiem, wiem przywieść doktora... (z żartobliwym wyrzutem) i pewno gdyby niezajączki mojego biednego Kadzińskiego był byś do nas niewstąpił....

HENRYK (z udanem nierozumieniem).

Owszem. Wszakże jestem najbliższym sąsiadem i najczęściéj odwiedzam panią hrabinę...

HRABINA (z uśmiechem).

Czy tylko mnie samą?

HENRYK.

Doprawdy prawie nigdzie niebywam... Kłopoty i zajęcia gospodarskie trzymają mnie w domu i ani myślę o innych wizytach...

HRABINA.

Masz może i racyę panie Henryku (po chwili) Cóż tam dobrego u ciebie słychać?

HENRYK.

Wczorajszéj nocy spalił mi się folwark za lasem.

HRABINA.

O! mój Boże!!.. Wielkie straty poniosłeś?

HENRYK.

Znaczne... zwłaszcza, że niezapłaciłem drugiéj assekuracyjnéj raty we właściwym terminie i mogę niedostać należnego mi wynagrodzenia za pogorzel.

HRABINA.

Czy podobna?

HENRYK.

Przepisy wyraźnie orzekają w tym względzie... Byłem dziś jednak w mieście i uprosiłem Łańskiego i Stawnickiego radców ubezpieczeń aby przybyli na grunt dla sprawdzenia.

HRABINA.

Wszakże pierwszy jest pańskim krewnym?

HENRYK.

To właśnie dla mnie najprzykrzejszém, bo zdanie jego przychylne, gotowi ludzie policzyć na karb związków krwi i posądzić o niesprawiedliwość... a niemogłem go pominąć gdyż moja Szarówka położona w okręgu jego urzędowéj władzy... Stawnicki zaś jako sąsiad i przyjaciel, także może być o stronność posądzonym, z tego względu przyznam się szczerze, jestem bardzo niekontent i mocno niespokojny...

HRABINA.

Czy nikogo więcéj prócz tych dwóch obywateli przy sprawdzeniu niebędzie?

HENRYK.

Owszem... Naczelnik powiatu, sekretarz wydziału ubezpieczeń... i doprawdy niewiem kto więcéj.

HRABINA.

A to niemasz się czego obawiać panie Henryku, ceniony i szanowany jesteś przez wszystkich. Uczciwy człowiek jak ty podejrzeń się nielęka. Ale powiedz mi czy niezapłacenie spalonych budynków i ruchomości o wielką przyprawi cię szkodę. Bo jak wiesz ja się zupełnie na tem nieznam, i gdyby nie Stefania...

HENRYK.

W takim stanie w jakim są moje interesa, będzie to ostatni cios...

HRABINA.

Po którym?

HENRYK.

Grozi mi zupełna ruina.

HRABINA.

I mówisz to tak spokojnie, tak otwarcie!!

HENRYK. (z widocznym udawaniem odwagi)

Kłamać nie umiem a pracy się nielękam.

HRABINA. (ze smutkiem silnym głosem)

Tak!, tak!... ale zawodów się lękaj!

HENRYK. (n. st. mimowolnie powstając)

Co chciała przez to powiedzieć?!

HRABINA.

Czy ze Stefanią mówiłeś o stanie w jakim...

HENRYK. (widocznie pomięszany)

Mówiłem. Dla czego pytasz mnie pani o to?

HRABINA.

Bo widzisz ona...

HENRYK. (j. w.)

Miałażby wątpić...

Scena III.

CIŻ SAMI, RADECKI, ŁAŃSKI STAWNICKI i KAMERDYNER.

KAMERDYNER. (odmykając drzwi domu z wewnątrz)

Pani hrabina w ogrodzie... Tam, w altanie... służę panom! (kiedy goście zeszli ze schodków wychodzi).

HENRYK. (n. str.)

Nieznośna przerwa rozmowy... Byłbym się dowiedział! (do końca sceny, smutny i zamyślony).

RADECKI. garbaty — ale prostem trzymaniem się starający się to pokryć zbliżając się do altany).

Czy można?

HRABINA.

Proszę — bardzo proszę. A kogoż mam przyjemność?...

RADECKI. (wchodząc do altany)

Sługa Radecki — i aż dwóch radców... ognistych.

HRABINA.

Witam, witam.

RADECKI. (po ukłonie)

A i pan Henryk tutaj. Ci panowie jechali do

Szarówki, spotkałem ich na drodze i do hrabiny zawerbowałem.

HRABINA.

Dziękuję panu za to.

STAWNICKI.

Ścielę się do stóp pani dobrodziejki (do Henryka) Jak się masz?

ŁAŃSKI.

Pomimo że to smutna jesień—dnie mamy prześliczne! Jaki stan zdrowia hrabiny? (do Henryka) Rodzona siostra by cię niepoznała, smutny i zmieniony, zkąd to zadumanie?

HRABINA.

Jesień zawsze prawie w naszym kraju bywa piękną. Za pamięć o moim zdrowiu dziękuję, chociaż niedobre. A że pan Henryk zamyślony, dziwić się niemożna— Po stracie...

STAWNICKI.

My ją oszacujemy, jak należy pani dobrodziejko.

HRABINA.

Ale czy ją zapłacą?..

ŁAŃSKI.

To w znacznéj części od nas zależy....

RADECKI.

A w niemałéj—nie od was.

STAWNICKI.

A zawsze sprzeczający się i złośliwy, ten kochany prezes.

HRABINA.

Jakim i od kiedy jesteś pan prezesem?

RADECKI.

Od urodzenia, pani hrabino, dozoru kościelnego. W kraju najrozliczniejszych radców, wcale przyjemnie być prezesem chociażby tylko...

STAWNICKI.

Zawsze nie jesteś jaśnie wielmożnym, wtedy kiedy my...

RADECKI. (przerywając)

Jak dla kogo! — Np. ty dla mnie w dzień pogorzeli... ale i ja także dla mojego organisty — na nowy rok.

STAWNICKI.

No kto ciebie przegada?...

ŁAŃSKI.

Ja też z nim nierozmawiam wcale.

RADECKI.

To tylko przez skromność — dobrze zrozumianą.

HRABINA.

Że też panowie ile razy jesteście z sobą, pomimo najgorętszéj przyjaźni jaka was łączy musicie wiecznie się kłócić.

STAWNICKI.

Bo proszę pani dobrodziejki kto się kocha...

RADECKI.

Ten wzajemnie sobie nieprzeszkadza w mówieniu.

STAWNICKI.

Ale nie...

ŁAŃSKI.

Daj mu pokój. Jesień doprawdy mamy prześliczną... oho! co za jesień! Pani hrabina pozwoli się nam przejść po ogrodzie. Henryku... podaj mi ramię. Wiesz, że cię kocham jak... rodzona siostra. To jest... no — Floryan weź go z drugiéj strony. Precz smutki, głowa naprzód, nos do góry, mina gęsta. A od czego przyjaciele na świecie.

RADECKI.

Pani hrabina uważa że ja milczę.

ŁAŃSKI (do Henryka).

Rodzona siostra lepszéj by ci rady odemnie nie dała. (do hrabiny) Pozwoli pani, że go trochę przekłusujemy.

HRABINA.

Jeżeli sam niema nic przeciw temu!...

HENRYK (odurzony gwałtownem zajęciem się jego osobą).

Ja!

Idą w głąb we trzech pod ręce — odwracając się co krok za Radeckim — który za niemi postępuje trochę, a później cofa się ku altanie).

ŁAŃSKI.

No marsz. Floryan trzymaj go dobrze. Floryan—jakie to dobre imię do ogrodu i w ogrodzie. Jak rodzoną siostrę kocham pochodzi od Flory... Flora!... bogini kwiatów!!...

RADECKI.

I ogórków.

STAWNICKI.

Oho, ho, ho, — co prezes wygaduje... do warzyw i owoców była przecie Pomona.

RADECKI.

Winszuję pamięci i nauki.

STAWNICKI.

Przestań że się smucić!

ŁAŃSKI.

Licz przecie na moją przyjaźń!

STAWNICKI.

I na moją!

HRABINA. (n. str.)

I są ludzie którzy bez sąsiadów żyć niemogą.

RADECKI (widząc że Henryk z Łańskim i Stawnickim zniknęli w głębi ogrodu).

Z panem Bogiem... Chodźmy do staréj kaleki mam o czem ważniejszem z nią pomówić.

Scena IV.

HRABINA i RADECKI.

RADECKI. (który powrócił do altany i usiadł przy hrabinie)

Co za oryginały! nieprawdaż?

HRABINA.

Ah! mnie się zdawało, że po polsku to się inaczéj nazywa.

RADECKI.

Tak, ale za pozwoleniem pani hrabiny, w tym razie niewłaściwem byłoby użycie wyrażenia które przyszło jéj na myśl. Obaj razem wzięci i każden pojedyńczo z osobna—mają rozum a raczéj spryt jakich mało; każden z nich zacząwszy o niczem doszedł do pięknéj fortunki... używając do tego zręcznych fortelów i wybiegów. Jestem pewny, że i teraz zastawili sidełka na Henryka. Boję się o niego. Jak zaczną go całować i ściskać a obiecywać przyjaźń i złote góry, niezawodnie mnóstwo rzeczy wyhandlują za pół darmo. Bo zawsze, jak kruki, tam lecą gdzie czuć padlinę a upudrują się pierzem gołębi, że niemożna ich poznać na stypie; albo jak wilki w bajce odzieją się w skórę owieczek i daléj szarpać ofiarę. Przytem naiwnie i niby niezręcznie biorą się do obdarcia, że człowiek w duszy myśli sobie: ot dobry baran... a tu ledwie obejrzysz się, już baran kapotę z grzbietu ciągnie.

HRABINA.

Pan lubisz malować na czarno.

RADECKI.

Bom nie malarz pani hrabino — a bielić tylko można domy, i groby. I to te ostatnie podobno tylko w ewangelii lub przez... zapomnienie.—

HRABINA.

W satyrycznem usposobieniu pan jesteś!

RADECKI.

Albo w usposobieniu... satyra!—ale, ale... kiedy o satyrze i o mnie mowa. Powiem pani hrabinie otwarcie... Kocham się!

HRABINA.

Pan?! czy być może — a w kim? jeśli wolno spytać.

RADECKI.

W pannie Stefanii.

HRABINA.

Szaleństwo!

RADECKI.

A czemże jest miłość jeśli nie szaleństwem.—

HRABINA.

Niewierzę.

RADECKI.

Powiedziałem najszczerszą prawdę.

HRABINA.

Ależ Stefania jest ubogą sierotą... Ja jéj dać wiele niemogę. — Sama niewiem co mam, a moi synowie znają się podobno na prawie i processować gotowi...

RADECKI.

Mnie o posag nieidzie... Chcę mieć tylko panią domu w całem znaczeniu tego wyrazu... Jak pani hrabina wie dobrze, ojciec mój dorobkowicz czystéj wody, zaczął od ekonomstwa! Zostawił mi duży majątek, który ja pracą podwoiłem. Wszyscy co chcą odemnie pożyczyć szanują mnie niezmiernie i przez wygórowaną grzeczność tytułują prezesem... Ale tak nazwane dobrze wychowane panny, w okolicy... każda co najmniéj ma po stotysięcy złotych w wianie... zatém czeka na księcia a od biedy na hrabiego. Dostałem sześć razy odkosza, musiałem dać zatem dworom za wygrane. W dworkach — pomimo lekkiéj siwizny i tego czegoś co mam pomiędzy ramionami... bo podobno nie prosto się trzymam — w dworkach — mówię przyjęto by mnie z radością... ale cóż kiedy do mego pałacyku, do parku, do moich adamaszkowych mebli, do chińskiéj i saskiéj porcelany, wymagam koniecznie damy, a niezdrowéj choć poczciwéj Magdy lub Kachny. Po owych koszach zatem i po poprzedniem zastanowieniu się nad mojemi potrzebami... rzuciłem kiedyś w kościele badawcze spojrzenie na pannę Stefanią, zacząłem bywać u pani hrabiny, poznałem... i zakochałem się.

HRABINA.

Jak w ładnym i eleganckim meblu.

RADECKI. (bardzo poważnie)

Nie—jak w kobiecie z krwi ciała, rozumu i serca. Mówię w téj chwili seryo... i błagam panią o przełożenie swojéj wychowanicy mojéj prośby o jéj rękę.

HRABINA.

Nie boisz się pan jéj ekscentryczności, która prawie na emancypacyę zakrawa.

RADECKI.

Nie—owszem, jeszcze więcéj ją za nią szanuję.

HRABINA.

A kiedy tak... mogę to zrobić w téj chwili.

RADECKI.

Pozostanę pani hrabinie prawdziwie obowiązanym, im prędzéj, tem lepiéj.

HRABINA.

Jeśli się zgodzi... rzecz będzie natychmiast powszechnie znaną, bo ci panowie (wskazując w głąb) objadą z wiadomością naszą okolicę.

RADECKI.

Chciałbym żeby świat cały był świadkiem mego szczęścia.

HRABINA.

Raz, dwa, trzy... Niecofasz się pan. Masz stałą i nieprzymuszoną wolę. .

RADECKI.

Powiedziałem pani hrabinie, że od roku kocham, a dodaję w téj chwili, że od jedenastu miesięcy namyślam się... ja który zwykle prędko myślę.

HRABINA.

Pójdźże mi ją zawołać...

RADECKI.

Biegnę (idzie w głąb i spotyka Henryka, Łańskiego, i Stawnickiego).

HRABINA (n. str.).

Może będzie szczęśliwą!

Scena V.

HRABINA, RADECKI, STAWNICKI ŁAŃSKI (obaj z cygarami w ustach) HENRYK, późniéj STEFANIA.

ŁAŃSKI (do Radeckiego)

Jak rodzoną siostrę kocham dokąd tak żwawo śpieszysz?

RADECKI

Poprosić pannę Stefanię do pani hrabiny...

HENRYK

Niepotrzebujesz się pan fatygować widzieliśmy ją przed chwilą w ganku, żegnającą odjeżdżającego doktora. Za chwilę nadejdzie.

RADECKI (wróciwszy pod altanę)

Przychodzi zaraz.

HRABINA

Czekajmy zatem.

ŁAŃSKI (na ucho do Henryka)

Pamiętaj nie daj mu się złapać ja od ciebie kupię bułanki.

STAWNICKI (z drugiéj strony także do ucha)

Niekończ z nim o powozik... ja ci lepiéj zapłacę.

HENRYK (zatrzymując ich przed altaną)

A—tu z cygarami niemożna... hrabina nie lubi dymu... siądźmy tam...

STAWNICKI

Ha! dobrze (siadają na ławeczce pod domem).

ŁAŃSKI

Ale słuchaj Henryku parę słów prawdy, po staréj przyjaźni. Ty tam przed gankiem romansowie zérkałeś; czy się niekochasz w téj Stefanii. Zrobiłbyś kapitalne głupstwo. Jako zabawka bez celu, czemu nie...

STAWNICKI

Oj smaczny kąsek!

ŁAŃSKI

Na seryo jednak ani możesz myśleć o tém. Tobie potrzeba kroci, inaczéj zginiesz jak ruda mysz! Sprocessują, stradują zsubhastują a późniéj co?... i rodzona siostra cię niezechce...

HENRYK

Co mówisz?

ŁAŃSKI

Ot! chciałem powiedzieć i rodzonéj siostrze... ech!.. nie...

STAWNICKI

No, no zbajałeś się i kwita! (Henryk powstaje).

ŁAŃSKI (powstając za nim)

Odchodzisz?

HENRYK

Niespokojność trawi mnie jak gorączka, biję się z myślami...

ŁAŃSKI

Interessa—o! rozumiem.

HENRYK

A! dobrze żeś mi przypomniał potrzeba mi cztérech tysięcy na wypłatę... a niemam ich. Czybyś mi niemógł pożyczyć, oddam odebrawszy assekuracyjne...

ŁAŃSKI

A jak go nieodbierzesz?

HENRYK

Jak to?! więc wątpisz... a przed chwilą zapewniałeś...

ŁAŃSKI

No, no niebierz tak wszystkiego gorąco do serca. A pożyczyć, no to pożyczę, tylko muszę naprzód odebrać od Stawnickiego... Bądź spokojnym! (n. str..) Niepotrzeba go zrażać... (głośno) Licz na mnie jak na rodzoną siostrę. (Henryk ściska go za rękę i wchodzi do altany).

STAWNICKI

Coś ty z nim tak szeptał?

ŁAŃSKI

Biedny chłopak muszę mu dać cztery tysiące na wypłatę... przecie to moja krew, nie mogę mu pozwolić żeby się zarzynał lichwiarskiemi procentami...

STAWNICKI

Oj! filucie!...

ŁAŃSKI

Wiem żeś przy pieniądzach... oddaj mi pięć tysięcy coś mi winien z ostatniego sztosika...

STAWNICKI

Co ci potem... U mnie to jak w banku!

ŁAŃSKI

Jak rodzoną siostrę kocham... biorę dla niego.

STAWNICKI (podając mu pieniądze)

Masz, masz, dusicielu. Ale powiedz mu, że to tylko przez wzgląd...

ŁAŃSKI

A jakże, ma się rozumieć!... (wchodzi Stefania i idzie do altany).

STEFANIA

(kłaniając się siedzącym na ławeczce, którzy powstają oddają jéj ukłon i na powrót siadają paląc cygara).

Dzień dobry panom! (w altanie powitawszy skinieniem głowy Radeckiego — do Hrabiny). Z Kadzińskim bardzo źle, żadnéj nadziei... doktor kazał go jutro rano odwieść do szpitala. Na mój widok atak powtórzył się, wpadł w furyą, wykrzykiwał że mnie zabije...(mimowolnym giestem zrzuca ze stołu książkę którą Henryk podnosi) Musiałam uprosić służącego pana Henryka żeby go pilnował!

HRABINA (całując ją w czoło).

I sfatygowałam się bardzo. Siadaj koło mnie i odpocznij.

HENRYK (trzymając książkę w ręku)

Madame Bowary, Gustawa Flaubert... kto to czyta jeśli wolno zapytać?

STEFANIA (prędko)

Ja!

HENRYK

Pani!!?

HRABINA

Niewierz jéj panie Henryku — księgarz mi przysłał i dotąd kartki nierozcięte jak widzisz.

HENRYK

To nie jest książka dla panien.

STEFANIA

Jak dla jakich... Ja mogę wszystko czytać.

HENRYK

Mojéj siostrze niepozwoliłbym.

STEFANIA

Jakie szczęście, że nie jestem pańską siostrą.

HENRYK (z ironją)

Nieśmiem zaprzeczyć pani.

RADECKI (który zniecierpliwiony, obrywał kwiat z kaprifolii, wieszającéj się po altanie)

Panie Henryku!

HENRYK (tonem suchym)

Co pan rozkaże?

RADECKI

Prawda... *jeszcze* niemam prawa!

HENRYK (półgłosem)

Jak to?

HRABINA (n. str.)

Czas przerwać, muszę wiedzieć jak daleko rzeczy zaszły między niemi... (głośno) Mój najdroższy Stefanie, pan Radecki przyjechał cię prosić o twoją rękę.

HENRYK (n. str. z mocnem wzruszeniem)

Co?! on!!

STEFANIA

Mnie?!

HRABINA

Tak jest—kocha cię od roku.

STEFANIA (powstaje idzie do Radeckiego i podaje mu obie ręce).

RADECKI (z radością).

Pani!

HENRYK (n. str.)

Boże! *(d. c. n.)*

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 9 (21) Марта 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.